



11. POLSKA WIOSNA FILMOWA

DELFT / TILBURG / UTRECHT
18-20 MAJA 2024



Anna P. Kowalska



ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ
Redaktor Naczelna

Drodzy Czytelnicy

Wiosna kalendarzowa, wiosna za oknem i wiosna w kinie. Już na okładce widać powiew filmowej wiosny. Na pierwszych stronach dzielimy się z Państwem informacjami o programie i miejscach projekcji. Filmoznawca, krytyk filmowy i wykładowca szkoły filmowej dzieli się z nami niezwykle interesującą recenzją filmu „Kos” Pawła Maślony.

Kto przeczyta ten artykuł, na pewno wybierze się do kina, żeby zobaczyć film, który zdobył nagrodę główną „Złote Lwy” na Festiwalu Filmowym w Gdyni w ubiegłym roku. Publiczność w Holandii zapraszamy na holenderską premierę filmu do Delft, Tilburga i Utrechtu. Plakat do filmu „Kos” stworzył Andrzej Pągowski, ten sam artysta, któremu zawdzięczamy najnowszy plakat „11. Polskiej Wiosny Filmowej” i wszystkich

poprzednich, poczynając od drugiej edycji przeglądu. Prawdziwe dzieła sztuki!

Na dalszych stronach przeczytacie Państwo o niezwykłym teatrze dziecięcym „Łejery”, o jego początkach, związkach z Holandią i udanym występie w Utrechcie. Dalej, aktor i pisarz Jacek Kałucki opisuje historie i anegdoty z zakulisowego życia znanych aktorów. Na pewno zaciekawia Was wszystkie artykuły w tym numerze, więc więcej nie zdradzam i zapraszam do czytania do ostatniej strony!

Pragnę Państwu zwrócić uwagę, że to już 117 numer naszego pisma. Pierwszy ukazał się w roku 1994, a od 1995 ukazuje się jako kwartalnik. Pismo powstało z inicjatywy założycieli i organizatorów polskich imprez kulturalnych w ramach działającej od 1992 roku fundacji „Pools Podium – Scena Polska w Holandii”. Wszystkie numery można znaleźć na stronie internetowej w formie pdf-ów. Te pierwsze, będziemy jeszcze uzupełniać.

Nasza strona internetowa zaczęła działać, gdy tylko zaistniał Internet. Z biegiem lat nasze archiwum powoli zaczęło się uzupełniać, zmieniały się techniki i możliwości obsługi, trzeba było się zmodernizować. W tym miejscu bardzo dziękuję Arkowi Janickiemu za pomoc i wielkie zaangażowanie w przygotowaniu oraz stworzeniu nowej strony, do której częściej odwiedziny serdecznie zapraszamy:

www.scenapolska.nl

Spis treści

ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ 11. Polska Wiosna Filmowa – 11. Poolse Filmlente	4
KONRAD J. ZARĘBSKI Kim pan jest generale K?	6
KONRAD J. ZARĘBSKI Zabużański fenomen	7
EUGENIUSZ BRZEZIŃSKI „Zakrypować lochbajtla, czyli jak czytać Tuwima”	8
JERZY SKOCZYLAŚ Terapia	8
JOANNA DUDA MUROWSKI Wiosenny list adresowany nie tylko do siebie	9
JACEK KAŁUCKI Najciekawsze są kulisy. Za kółkiem	10
AGNIESZKA LONSKA „Zielona Akademia” teatru Łejery z Poznania w Utrechcie	12
KATARZYNA SADOWSKA Poznańska pedagogika „Łejerska”	13
ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ Holendrzy świętują „Koningsdag – Dzień Króla”	14
Gratulacje z okazji 90-tych urodzin	14
MAŁGORZATA ANNUSEWICZ Wrodzony optymizm Marii Bilskiej	15
ALEK SILBER Poziomki ze śmietaną	16
MAREK GRĄDZKI Wiosna, wiosna, ach to Ty!	17
AGNIESZKA LONSKA Wierszowisko	18
GRAŻYNA GRAMZA Śpiewająca bogini wodewilu, Koosje Majofski	19
ANNA FRANÇOIS-KOS Mają polskie korzenie	20

Nowa strona internetowa: www.scenapolska.nl – ZAPRASZAMY!



SCENA POLSKA | Nr 1(117)/2024 | ISSN 1233-7633

REDAKCJA: Zofia Schrotten-Czerniejewicz i zespół.

WYDAWCA: Stichting Pools Podium, Tel. +31 (0) 621 564 177, e-mail: poolspodium@gmail.com

Stichting Pools Podium, ABN AMRO Utrecht, IBAN: NL85 ABNA0 518544443.

www.scenapolska.nl | www.facebook.com/scenapolska

ZDJĘCIA: Archiwum SPP

SKŁAD KOMPUTEROWY: Mariusz Mamet | Mac Map

OKŁADKA: Andrzej Pągowski

DRUK: Drukarnia DS Marcin Witecki



11. Polska Wiosna Filmowa – 11. Poolse Filmlente

ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ

Polska Wiosna Filmowa, wiosenny przegląd najnowszych polskich filmów fabularnych w Holandii odbędzie się, już po raz jedenasty, w dniach 18-20 maja w kinach w Delft, Tilburga i Utrechcie.

Widzowie, w tych trzech miastach, będą mogli zobaczyć po raz pierwszy w Holandii, zwycięzcę Festiwalu Filmów Fabularnych w Gdyni, zdobywcę Złotych Lwów, film „Kos” Pawła Maślony. Głównym bohaterem filmu jest Generał Tadeusz Kościuszko, w rolę którego wcielił się Jacek Braciak. W pozostałych, ważnych rolach występują znakomici: Robert Więckiewicz (za rolę rotmistrza Iwana Dunina otrzymał w Gdyni wyróżnienie), Bartosz Bielenia, Agnieszka Grochowska i wielu innych. Opowieść zaczyna się tak: „Wiosna 1794 roku, w Polsce wrze. Do kraju wraca generał Tadeusz „Kos” Kościuszko, który planuje wzniecić powstanie przeciwko Rosjanom, mobilizując do tego polską szlachtę i chłopów.”

W Delft zobaczyć będzie też można film Damiana Kocura „Chleb i sól”. „Chlebem i solą” – powiedzenie, funkcjonujące po polsku, istnieje również w świecie arabskim. W nowo otwartym kebabie, gdzieś w prowincjonalnej Polsce, toczy się życie młodych ludzi. Czas toczy się niespiesznie, upływając na prostych radościach



„Kos” – Robert Więckiewicz jako rotmistrz Dunin

fot. Łukasz Bak

i małym szczęściu. Do miasta przyjeżdża Tymek, młody pianista, student Warszawskiego Uniwersytetu Muzycznego, który po wakacjach ma wyjechać na stypendium do Europy. Tymek staje się świadkiem nakręcającej się spirali napięć między swoimi kolegami a pracownikami arabskiego pochodzenia. Spirali, której finał okaże się być tragiczny w skutkach. Film zainspirowany prawdziwymi wydarzeniami i zagrany przez naturzszczyków. Film był wielokrotnie nagradzany na festiwalach filmowych w świecie, tylko raz pokazany zostanie w Delft.

Film na który zapraszamy do Delft i do Utrechcie to „Święto ognia” Kingi Dębskiej, znanej reżyserki filmów „Moje córki krowy”, „Zabawa zabawa”, „Zupa nic”. Najnowszy film „Święto ognia” jest ekranizacją powieści Jakuba Małeckiego.

Anastazja ma 20 lat, jest uzależniona od komiksów, gorącej czekolady i zakochana w chłopaku z sąsiedztwa. Gdyby tylko mogła, porwałaby go na randkę albo na koniec świata. Niestety to tylko marzenia, bo od dziecka jest przykuta do wózka, a z otoczeniem porozumiewa się za



pomocą specjalnego programu. Mimo wszystkich ograniczeń Nastka nie traci pogody ducha, a optymizmem zaraża wszystkich. Najlepszą relację ma z nią starsza siostra Łucja – wschodząca gwiazda Baletu Narodowego, która właśnie stanęła u progu wielkiej kariery. Anastazję samotnie wychowuje ojciec Poldek. Wkrótce życie całej trójki wkroczy w nowy etap, kiedy do ich drzwi zapuka przebojowa sąsiadka z naprzeciwka – Józefina. To za jej sprawą Anastazja i jej bliscy odkrywają siebie na nowo, a przy okazji staną twarzą w twarz z rodzinną tajemnicą, która aż nazbyt długo czekała na rozwiązanie. Wzruszająca opowieść, wspaniałe role aktorskie.

I to tyle o filmach. Kto ma czas i jest w Holandii w okresie „Zielonych Świątek – Pinksteren” niech zajrzy do kin na naszą Polską Wiosnę Filmową, dla której, już po raz dziesiąty, artysta Andrzej Pągowski zaprojektował niezwykły plakat festiwalowy. Pierwsza Polska Wiosna Filmowa odbyła się w 2006 roku w ramach współpracy Pools Podium z Melkweg Cinema w Amsterdamie. Plakat zaprojektowała Paulina Klich, absolwentka liceum plastycznego. W 2007 roku pojawił się pierwszy plakat wg projektu Andrzeja Pągowskiego, który w 2005 stworzył dla nas słynny plakat do retrospektywy filmów Krzysztofa Kieślowskiego w Holandii. Kolejne Polskie Wiosny Filmowe odbyły się w 2007, 2010, 2011, 2013, 2014, 2015, 2016, 2017, 2018, 2020 (odwołana przez pandemię).

Warto wrócić na chwilę do początków przeglądów polskich filmów organizowanych przez Scenę Polską w Holandii. Zaczęło się w 1995 roku, kiedy Jerzy Stuhr, występujący kilkakrotnie u nas z monodramem „Kontra-basista” zaproponował pokaz swojego pierwszego filmu „Spis cudzołóżnic”, przywożąc go w bagażu podręcznym prosto po premierze w Krakowie. To był początek nowej działalności Sceny Polskiej, dotychczas organizującej spektakle teatralne. Pierwszą formą były przeglądy CINEMA Polska zainicjowane w Filmhuis Den Haag w Hadze. Jeszcze w 1995 roku rozpoczęliśmy współpracę z Filmhuis Lumen w Delft organizując Tydzień Polskiego Filmu. Od 1999 roku nastąpił w Polsce wysyp polskich wielkich produkcji, a w Holandii Pokazów Specjalnych z filmami Wajdy i Hoffmana. Sale kinowe nie mieściły wszystkich chętnych, wynajmowaliśmy sale konferencyjne i widowskie gromadzące ponad 2000 widzów.

Cieszyły nas wszystkie formy pokazów: animacje, kino niezależne, pojedyncze projekcje, bo była publiczność, chętnie spotykaliśmy się w kinie, i to nie tylko by obejrzeć film. Chociaż to głównie film przyciągał nas do kin.

Mam nadzieję, że proponowany przez nas program 11. Polskiej Wiosny Filmowej, przyciągnie miłośników dobrego kina, a filmowa opowieść o bohaterze narodowym Tadeuszu Kościuszcze, opowiedziana w niekonwencjonalny sposób, będzie wielkim przeżyciem dla Polaków w Holandii. Zapewniam, że z nami poczujecie prawdziwą filmową wiosnę!

Scena Polska zaprasza!

11. Polska Wiosna Filmowa w Holandii

PROGRAM:

- **Filmhuis Lumen Delft** - www.filmhuis-lumen.nl
 - 18 maja 18:45 – film „Kos”, reż. Paweł Maślona
 - 19 maja 14:30 – film „Święto ognia”, reż. Kinga Dębska, 16:30 – film „Chleb i sól”, reż. Damian Kocur
- **Pathé Tilburg Stappegoor** - www.pathe.nl/bioscoop/tilburgstappegoor
 - 19 maja 18:00 – film „Kos”, reż. Paweł Maślona
- **Slachtstraat Filmtheater Utrecht** - www.slachtstraat.nl
 - 20 maja 15:00 – film „Święto ognia”, reż. Kinga Dębska, 17:00 – film „Kos”, reż. Paweł Maślona

Filmy w języku polskim z angielskimi napisami.

Sprzedaż biletów w kinach. Informacje w języku polskim: www.scenapolska.nl

FESTIVAL OF POLISH FILMS IN THE NETHERLANDS
POOLS PODIUM PRESENTS

11. POOLSE FILMLENTE

11. POLSKA WIOSNA FILMOWA

18, 19 MEI 2024
DELFT – FILMHUIS LUMEN
19 MEI 2024
TILBURG – PATHÉ TILBURG STAPPEGOOR
20 MEI 2024
UTRECHT – SLACHTSTRAAT FILMTHEATER

WWW.POOLSPODIUM.NL WWW.SCENAPOLSKA.NL

POOLS PODIUM
SCENA POLSKA
LACIN TEGEEN
FILMHUIS LUMEN

Kim pan jest generale K?



KONRAD J. ZARĘBSKI

Bohaterem filmu „Kos” Pawła Maślony jest Tadeusz Kościuszko, który przeszedł do polskiej historii jako bohater narodowy i przywódca powstania 1794 roku, zwanego Insurekcją Kościuszkowską. Akcja filmu toczy się bezpośrednio przed wybuchem powstania, wiosną 1794 roku, kiedy Kościuszko przybywa do kraju, by przejąć kontrolę nad przygotowaniem do wybuchu. W filmie towarzyszy mu ciemnoskóry przyjaciel z Ameryki, były niewolnik. Przepęnlony ideałami rewolucji amerykańskiej polski generał prowadzi rozmowy o ratowaniu kraju ze szlachtą, dopytuje o możliwość wykorzystania chłopów pańszczyźnianych do walki zbrojnej. Śladami Kościuszki podąża rosyjski kawalerzysta, z pochodzenia Polak, rotmistrz Dunin. Wraz ze swoim oddziałem zatrzymuje się w majątku wdowy po polskim pułkowniku, gdzie ukrywa się Kościuszko. Nieoczekiwane obaj antagoniści zasiadają przy wspólnym stole. Pani pułkownikowa robi dobrą minę do złej gry, ale Dunin, wyposażony w list gończy za generałem, dąży do konfrontacji. Dochodzi do zbrojnego starcia, z opresji ratuje spiskowców odsiecz pańszczyźnianych chłopów.

Oto w największym skrócie streszczenie filmu, który podczas ostatniego Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni zdobył Złote Lwy dla najlepszego polskiego filmu sezonu oraz kilka innych nagród, w tym wyróżnienie za rolę Roberta Więckiewicza jako Dunina i nagrodę dziennikarzy, a także aż 16 nominacji do Orłów – Polskiej Nagrody Filmowej. Film wzbudził zrazu entuzjazm krytyków, pojawiły się głosy, że to wręcz „Tarantino po polsku” – ze względu na swą dezynwolturę w traktowaniu historii, w śmiałym epatowaniu przemocą i poprzez odwoływanie się do wzorców gatunkowych. Aby to jednak był „Tarantino po polsku” niezbędna jest pewność,

że widzowie natychmiast odkryją cel gier twórców z masową wyobraźnią swoich odbiorców.

I tu rodzi się zasadniczy problem: jaka jest wiedza przeciętnego Polaka, chodzącego do kina, na temat Polski tuż przedrozbiorowej? Odpowiedź jest jedna: żadna. W gruncie rzeczy nie słyszeliśmy nic o tamtych czasach i żyjących wówczas ludziach. Owszem, wiemy o podejmowanych próbach ratowania ojczyzny, choćby uchwaleniu Konstytucji 3 Maja, o Konfederacji Barskiej, o powszechnym nastroju przygnębienia i rozpacz, z drugiej jednak strony słyszeliśmy o popieranej przez Rosję Targowicy i wielmożach, którzy otwarcie wypowiedzieli posłuszeństwo królowi Stanisławowi Augustowi. Z jakimi więc szablonami powszechnej wiedzy grać, skoro ta wiedza jest zaskakująco skromna?

Nie wiemy, na przykład, skąd się wziął Tadeusz Kościuszko? Owszem, wiemy, że był jednym z pierwszych absolwentów Szkoły Rycerskiej, utalentowanym inżynierem i wybitnym taktikiem, skoro w polskim wojsku doszedł do stopnia generała majora, był też pierwszym odznaczonym złotym medalem *Virtuti Militari* i jednym z pierwszych uhonorowanych Krzyżem *Virtuti Militari*. Wiele lat przebywał na emigracji, walczył o niepodległość Stanów Zjednoczonych, cieszył

się przyjaźnią George’a Washingtona. Ale dlaczego właśnie on został wybrany przez tajemnicze sprzysiężenie wrogów Targowicy na Naczelnika Siły Zbrojnej insurekcji? My, widzowie, nie musimy tego wiedzieć, ale twórcy pierwszej od 1938 roku fabularnej opowieści o Kościuszcze powinni nam to nie tyle przypomnieć, ile wyjaśnić. W zamian dostajemy opowieść o ściganym przez carycę Katarzynę spiskowcu, który zamiast się ukrywać podróżuje po kraju w towarzystwie Murzyna, co wówczas nie było czymś codziennym. Takich pytań z czasem będziemy mieć coraz więcej. Na przykład, dlaczego chłopskie kosy używane są jako szable, co zmusza ich szermierzy do bezpośredniego kontaktu z przeciwnikiem. Wszak osadzenie ich na sztorc w stylisku miało swój cel.

Ale nie czepiajmy się szczegółów. W końcu tradycji w kinie kostiumowym, z którymi można byłoby polemizować, też nie mamy zbyt wielu – raptem Sienkiewicz widziany oczami Jerzego Hoffmana czy Wajdowski „Pan Tadeusz”, u którego twórcy mają największy dług. Kiedy jednak oderwiemy się o tych wzorców, zobaczymy śmiałość, bo komiksową, wizję polskiej historii, która – miejmy nadzieję – obudzi w nas pragnienie sięgnięcia po właściwe źródła, by odświeżyć pamięć. Wszak warto pamiętać o korzeniach. ■



„Kos” – Jacek Braciak jako Tadeusz Kościuszko

fot. Łukasz Bak

Zabużański fenomen

KONRAD J. ZARĘBSKI

Na początku było słowo. Nie zapisane w Wielkiej Księdze, ale zwyczajnie mówione.

Tuż po wojnie były pułkownik kawalerii zabrał swych synów, przyszłych pisarzy Romana Bratnego i Andrzeja Mularczyka w podróż na Ziemię Odzyskane. Gdzieś pod Lubinem postawił ich przed gospodarzem i powiedział: „To jest wasz stryj”. Od 30 lat bracia nie utrzymywali kontaktów: oficer wstydził się swego zabużańskiego, wiejskiego pochodzenia. Ale wojna zmieniła wszystko. Po pojednaniu rodziny nadszedł czas zwierzeń: stryj otworzył usta i potoczystą zabużańską gwarą opowiedział całe swoje życie. Może nie od razu, ale bratankowie mieli dobrych parę lat, by tych opowieści wysłuchać. Niestworzonych, skoro znalazła się tam historia konfliktu z teściem o miedzę, po której doszło do bójki i stryj musiał uciekać aż do Argentyny, poprzysięgając sobie, że nie wróci przed pogrzebem teścia. No i po 8 latach wrócił, znając hiszpański, co wkrótce po wybuchu wojny ocaliło wioskę przed spaleniem a jej mieszkańców przed wysiedleniem.

Ale kilka lat później wysiedlenie stało się faktem: mało kto chciał zostać na ojcowiznie pod sowieckim jarzmem. Rodzina stryja osiedliła się na Ziemiach Odzyskanych w wybranej wsi – tylko dlatego, że wypatrzył na łące krowy sąsiada zza Buga, z którym był skłócony.

Chęcińskiego, by nakręcić film „Sami swoi” – „” (Andrzej Werner).

Andrzej Mularczyk – pisarz i scenarzysta, lecz przede wszystkim ceniony reporter z uchem na ludzkie problemy, ale i językowe niuansy – zawierzył swemu instynktowi. Najpierw powstało słuchowisko radiowe (gdzie w rolę stryja wcielił się Wojciech Siemion), potem scenariusz filmowy – „zabawne perypetie zabużańskich Montecchich i Capuletlich”, czyli „Sami swoi”, a pół wieku później – jako zwierzczenie całej filmowej trylogii – książka „Każdy żyje jak umie” (2011), sięgająca do czasów przedwojennych i wyjaśniająca genezę filmów. Świadectwo stryja, pierwowzoru filmowego Kazimierza Pawłaka (zagrane go przez pochodzącego z Buga Waclawa Kowalskiego, wyciągniętego z niebytu ról drugoplanowych) uzupełniło doświadczenie statystów z Lubomierza, gdzie kręcono zdjęcia.

Historia sporu o miedzę, który przenosi się z pokolenia na pokolenie, w czym nie przeszkadza wielka powojenna migracja i konieczność przystosowania się do życia w innych warunkach społecznych i ekonomicznych, w połowie lat 60. nie wydawała się



decydom kinematografii czymś szczególnie ważnym. Ot, obrazek obyczajowy, przyczynek do wiedzy o polskim osadnictwie na Ziemiach Odzyskanych, nie wart nawet deficytowej taśmy barwnej. Tymczasem – jak zauważył Aleksander Jackiewicz – „to nie jest komedia taka niewinna, jak się wydaje. W dodatku autor bardzo dowcipnego scenariusza, Andrzej Mularczyk, i reżyser dali temu kształt realistyczny. Mowa, oczywiście, o realizmie w komedii. Ich bohaterowie przypominają autentycznych ludzi, dzieje bohaterów przypominają autentyczny świat. To sztuka zmieszać sprawy serio z zabawą, nie rozładowując ich, tylko najwyżej łagodząc”. Inni krytycy dostrzegli w filmie Chęcińskiego – przy całym przywiązaniu do tradycyjnych środków wyrazów, od humoru sytuacyjnego po słowny, nie mówiąc o wyrazistych typach głównych antagonistów i ich rodzin (skłóconego z Pawlakiem Władysława Kargula zagrał Władysław Hańcza) – nową wartość: „film wiejski, który autentycznie bawi”.

Mimo tej życzliwości krytyków, „Samych swoich” nie ma wśród 20 najchętniej oglądanych filmów sezonu 1967/68. Zabrakło go też na analogicznej liście w roku następnym, opublikowanej w „Małym Roczniku Filmowym 1968”. Ale prawdziwy sukces „Sami swoi” zawdzięczają telewizji, do repertuaru której trafili na początku lat 70., z miejsca stając jego żelaznym elementem. To wtedy w języku potocznym pojawiły się fragmenty dialogów toczonych między Pawlakiem i Kargulem, ze słynnymi „Kargul, podejdz no do płota!” czy „Sąd sądem, ale sprawiedliwość musi być po mojej stronie...” na czele. Telewizowie zaczęli domagać się dalszego ciągu. I ciąg dalszy nastąpił – według scenariusza i w reżyserii tych samych twórców i w identycznej obsadzie. Filmowcy wrócili do Lubomierza, by nakręcić „Nie ma mocnych” – współczesną komedię satyryczną (jakkolwiek dość pobłażliwą dla przejawów społecznych patologii, jakie miały

się stać charakterystyczne dla czasów gierkowskich), mającą odpowiedzieć na pytanie, co się dzieje z bohaterami „Samych swoich” po dwudziestu paru latach. Chociaż artystycznie słabszy, cieszył się w kinach niezwykłą wprost popularnością, plasując się – jeszcze w epoce sprzed kina domowego – na 10. miejscu wśród najchętniej oglądanych filmów polskich (8,67 mln). Jeszcze lepszym wynikiem (8. miejsce z 9,37 mln widzów) może pochwalić się ostatnia część trylogii „Kochaj albo rzuć”, której bohaterowie zostają wysłani do Stanów Zjednoczonych. Motyw „Samych swoich” pojawił się też w tym samym czasie w serialu „Droga” Chęcińskiego i Mularczyka, zrealizowanym między drugim i trzecim ogniwem trylogii. Poszczególne filmy z cyklu zdobywały nagrody na krajowych festiwalach i przeglądach a całość otrzymała nawet Złotą Kamerę tygodnika „Film” za najlepszy film o tematyce współczesnej. Kiedy „Polityka” ogłosiła ankietę na najciekawsze polskie filmy XX wieku, „Sami swoi” zajęli w niej drugie miejsce, zaraz po „Rejsie”. Otoczony kultem film upamiętniający pomniki Kargula i Pawłaka w Lubomierzu, gdzie od ćwierćwiecza odbywa się festiwal polskiej komedii, i Toruniu.

Książka o filmie i jego bohaterach, „Każdy żyje jak umie”, wzbudziła na nowo falę zainteresowania losami Pawlaków i Karguli. 90-letni Mularczyk został wręcz zmuszony do napisania scenariusza, na motywach którego powstał film „Sami swoi. Początek”. Czy potrzebny?

Za kamerą stanął wprawdzie debiutant, ale za to doświadczony aktor Artur Żmijewski. Młodych Pawłaka i Kargula zagraли Adam Bobik i Karol Dziuba, a towarzyszy im doborowa gwiazdorska stawka z Anną Dymną na czele. Dość jeszcze wspomnieć nostalgicznie urokliwy język zabużańskiej gwary. No i przede wszystkim unoszący się nad wszystkim jakże polski duch sporu o miedzę – dalekie echo Fredrowskiej „Zemsty”. ■

„Zakrypować lochbajtla, czyli jak czytać Tuwima”



EUGENIUSZ BRZEZIŃSKI

Czytam „Uwięzione wypuszczam żywo! O twórczości Juliana Tuwima”. To zbiór esejów poważnych profesorów-literaturoznawców, wydany przez prawniczo-pisowskie Narodowe Centrum Kultury, ze wstępem „samego” byłego ministra i wicepremiera Piotra Glińskiego (który w ostatnich czasach już definitywnie porzucił rolę naukowca dla roli kłamliwego polityka jedynie słusznej opcji). Sposób, w jaki ci zasłużeni profesorowie analizują poezję Tuwima (pracę wydano w 70-tą rocznicę śmierci poety) jest tyle fascynujący, co chwilami kompletnie uciekający poza moje skromne możliwości percepcyjny. A już Pani Profesor od „Lokomotywy” i innych wierszy dla dzieci robi to tak, że zatkało mnie całkowicie. Bo okazuje się, że Lokomotywa nafaszerowana jest zjawiskami takimi jak: anafory i paralelizm postanafo-ryczny, „epifory, ustanawiające wyjątkowo bogaty izorym”, poliptotony, „wzmózo-żona kinestezja artykulacyjna”, rymy (m.in. tautologiczny, paronimiczny), a także pełno tu różnego rodzaju powtórzeń: „poliptotonów,

figur etymologicznych czy paralelizmów kompozycyjnych – niekiedy w dodatku związanych z użyciem anafor”. Natomiast w „Ptasim radiu” nie powinna nas zaskakiwać „dezintegracja słowa, konstrukcja z pogranicza onomatopei, glosolalii i eholalii czy jakaś inna „autonomizacja dźwięku”.

Czytam to wszystko i staram się nawet jakoś to pojąć, choć łatwo nie jest. Nie miałem zielonego pojęcia, że można poezję – jakakolwiek! – w tak skomplikowany sposób rozbić na części. Bo przecież czytając Tuwima wie się niejako podświadomie, że mamy do czynienia z geniuszem słowa, z mistrzem rymu i składni, z absolutnie nieprzeciętnym poetą. I nie tylko poetą; jego felietony, jego żarciki, jego teksty kabaretowe pozostają do dziś wzorcem niedoścignionym, nawet pomimo często już dawno nieaktualnych treści. Czytając te naukowe rozprawy nie mogłem się w żaden sposób uwolnić od natrętej myśli, że te teksty mi coś przypominają, coś właśnie „Tuwimowego”. I nagle wpadłem na to, że faktycznie, że już wiem. To przecież trochę jak słynny „Ślusarz” tegoż Autora! „... z powodu kajli na iberlaufie trychter rzeczywiście był ro-

biony na szoner, nie zaś krajcowany, i bez ho-lajzy w żaden sposób nie udałoby się zakrypo-wać lochbajtla w celu udychtowania štendra, aby rostrajbować ferszłus, który dlatego źle działa, że droselklapę tandetnie zablindowano i teraz ryksztosuje.” I wszystko już jasne!

Potwierdza się więc, że polszczyzna to jed-nak bardzo bogaty język i nie warto się od razu zniechęcać, jeśli z miejsca czegoś nie pojmie-my. Czasem wystarczy umiejętnie posługiwać się pierwszy raz zasłyszczanymi terminami, żeby zrobić na kimś wrażenie. A ja, naiwny, myślałem dotąd, że największą i najbardziej oczywistą oceną „Lokomotywy” jest wyraz twarzy słuchających tego wiersza dzieci; pod-czas dobrej recytacji zachwycony wzrok wbity w deklamatora stanowi dowód najwyższego uznania dla mistrzostwa Juliana Tuwima. Uff!

GEBe

Terapia



JERZY SKOCZYLAS

Na rozmaitych zakrętach mej długiej życiowej drogi, spotykam i abstynentów i tych co mają nałogi. I nie ukrywam, że jednych i drugich jednakowo cenię, a taki co jest bez skazy niech pierwszy rzuci kamieniem. Jeden pokonał palenie, inny odstawił kieliszek, a jeszcze inny się rozstał z seksoholizmu fetyszem, wrócił na łono rodziny, zaczął unikać sąsiadek, a żona wyszła z bulimii rzucając w kąt czekoladę. Nie każdy o własnych siłach wyjść z uzależnień potrafi, więc taki co ma trudności winien się poddać terapii. I niechaj się nie ociąga, i ile sił w nogach niech gna na sesje i na terapię do klubu pod szyldem AA. Przyznaję, byłem w tym klubie, a że nie piję, nie palę,

zwiadając zakład dotarłem na gigantyczną wręcz salę, która wzbudziła w mym sercu i zachwyt i przerażenie, bo tam zbierają się ludzie, którzy chcą rzucić myślenie. A grono to bardzo zacne, wytworne panie, panowie, lekarze i dziennikarze, uczeni, gwiazdy, postowie. Tam aktor podczas terapii zwraca się do adwokata: – czy pan już długo nie myśli? Bo ja dopiero trzy lata. Ten na to: – rok nie myślałem, nawet się dzielnie trzymałem i nagle pękło coś we mnie, i psia go mać, pomyślałem. Ja nie myślałem, kolego, już dobrą roku połowę i wczoraj, ku mej rozpacz, myśl mi przemknęła przez głowę. A mnie na sesji plenarnej, gdy stałem już na mównicy, znienacka przejaw myślenia odezwał się w mózgowicy. Tu zabrał głos terapeuta: – już my się z tym uporamy i podły nałóg myślenia zdeptamy i pokonamy. Utwórzmy krąg i się złapmy za ręce panie, panowie, i popadnijmy pospołu w bezmyślność i bezmózgowie. I wszyscy się zanurzyli w totalny stan niemyślenia, aż tępy wyraz ich twarzy wykazał stan odmóżdżenia. I w takim stanie ruszyli na stanowiska, posady, do biur, uczelni, ministerstw, głosić prelekcje, wykłady, ogromne rzesze zwierzchników, sterników, szefów, docentów, bezkresny zbiór abnegatów, myślowych tłum abstynentów. A co ja sądzę w tej kwestii? Zaraz swój pogląd uściślę: – też chodzę na tę terapię i już dwa lata nie myślę.

Wiosenny list adresowany nie tylko do siebie



JOANNA DUDA MUROWSKI

To jeszcze nie koniec.

*W prawdzie tyle co padał deszcz,
a nawet grad, ale niebo, przy wtórze
śpiewu niezliczonych ptaków, robi się
łaciate i widać już nawet słońce.*

Wiosna. Taka, zupełnie, jak moje życie.

*Z doniczek, na moim balkonie, powychodziły
tulipany. Same. Bez mojego udziału.*

*To znaczy, kiedyś tam powsadzałam cebulki,
a teraz somo dzieje się kolorowe piękno.*

*Zastanawiam się, czy jeszcze coś
podobnego zrobiłam w moim życiu...*

Może jakieś słowo, jakiś czyn?

*W tych wiosennych zawirowaniach pogody,
jestem czasami niepoczytalna i niespokojna.*

*Bo właśnie teraz w doniczkach wyrasta
wszystko to, co zrobiłam dobrze.*

*I również teraz, w jaskrawym świetle
słońca okaże się, co mi się nie udało.*

*Wiosna, to niby nie koniec roku,
a takie podsumowania...*

*No ale egzamin dojrzałości
też miałam wiosną.*

*Majowa matura, burza mózgu, ogromny
stres i jeszcze większa nadzieja, na nowe.*

Wtedy kwitły kasztany.

*Teraz spoglądam, na dostojnie unoszące
olbrzymie kielichy kwiatów, tulipany.*

*W rogu doniczki były też fiołki.
Takie małe, fioletowe, pachnące.*

*Ale one już przekwitły. Teraz
czekam, na konwalie.*

*Potrzeba mi tylko cierpliwości. Szczęście
trzeba czasami długo wysiadywać.*

Bo wszystko ma swoją porę życia.

*Podczas składania sobie życzeń świątecznych,
rozgadałam się ze znajomym.*

*Właśnie wyszedł ze szpitala. Miał
zawał. Poniekąd zmartwychwstał.*

*A mnie tak bolą krzyże. Może za dużo
chciałam wysprzątać? Również w sobie.*

*To chyba dlatego właśnie krzyże mnie
bolą. I to tak, że ciężko mi wstać,*

*w ogóle ciężko się podnieść,
unieść, z tym krzyżem.*

Ale podobno wiosną wszystko się odradza.

*Nie wiem tylko, czy lubię wiosnę.
Jest trochę, jak ruletka.*

*Zawsze z niepewnością czekam, czy urosnie
to, co zasiałam, czy może jakieś przypadkowe
załamanie losu, jakiś twardy grad (słów),
czy niespodziewane zimno (szczególnie te,
od ludzi), zniszczy wszystkie moje wysiłki.*

*Chociaż, przecież tulipany rozkwitły
prawie bez mojego udziału...*

*A! I jeszcze mówią, że wiosną
wszystko się odradza.*

Nadzieja też.

Liczę na to!

To jeszcze nie koniec.

*Wprawdzie tyle co padał deszcz, ale niebo,
przy wtórze śpiewu niezliczonych ptaków
robi się łaciate i widać już nawet słońce.*

Zupełnie, jak w moim życiu.



Najciekawsze są kulisy

Za kółkiem...



JACEK KAŁUCKI

Po wydaniu książki „Sekrety zza kulis” odezwała się do mnie spora ilość czytelników z prośbą o... jeszcze! Nie będę ukrywał, że jest mi bardzo miło czytając i słuchając pochlebne recenzje, ale moje przygody „zakulisowe” w większości się wyczerpały – oczywiście te, które nadają się do publikacji (sic!) Fakt, że o niektórych zapomniałem i jeśli znajdzie nową formułę do zaprezentowania, to może coś wyskrobię? Piotrek Fronczewski po przeczytaniu mojej książki wręcz zapytał:

- *Jaculu, kiedy będą...* „Sekrety zza kulis 2”?
- *Wtedy, kiedy nakręcą „Rambo 22”.*

Nie mniej pomysłu, bo wciąż chodzi mi coś po głowie...

Dzisiaj mały przedsmak. Kilka anegdot tematycznie związanych z pojazdami – zapraszam:

Joachim Lamża i Marek Siudym, to dwaj wspaniali aktorzy, przyjaciele, a łączy ich coś jeszcze... są absolutnie zakręceny na punkcie motocykli – od zawsze! Oczywiście jeden i drugi posiada dwukołową maszynę, która jest ich głównym środkiem lokomocji – często nawet w zimie! Nie robią z tego religii, po prostu lubią jeździć i spędzać czas na swoich „rumakach”. Kochają naturę, wiatr i wolność. Lubią ludzi, przyrodę, zwierzęta i choć w papierach lat przybywa, Oni są... tacy sami!

Jak wspominałem jednoślady w ich głowach zakorzenione były od zawsze. Będąc studentami w warszawskiej Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej przeczytali w lokalnej prasie, że do pewnego sklepu dotarł transport motocykli z NRD (Niemieckiej Republiki Demokratycznej) słynnych, nie tanich i trudnych do kupienia MZ-tek. Natychmiast po zajęciach, pobiegli do salonu żeby chociaż dotknąć ten cud niemieckiej techniki. Weszli do sklepu rozglądając się na lewo i prawo. Muszę tutaj zaznaczyć, że Młodzieńcy byli zakwalifikowani do tak zwanej grupy aktorów... „charakterystycznych”.

- *Czego szukacie?* – spytał sprzedawca.
- *Chcemy kupić motocykl...*



Marek Siudym i Joachim Lamża

Facet zlustrował ich od góry do dołu i wszedł im w słowo:

– *Na wieś, to najlepsza jest polska WFM-ka. Sprawdza się na polnych drogach i jest łatwa do samodzielnej naprawy.*

PS

Dzisiaj Joas Lamża jeździ Triumphem Bonneville, a Marek Siudym Harleyem Davidsonem!!

Tę historyjkę opowiedział mi główny bohater całego zdarzenia wspaniały i nieodżałowany aktor... Jan Kobuszewski.

Zimą w drugiej połowie lat siedemdziesiątych Olga Lipińska zakończyła w telewizji nagranie programu rozrywkowego pod tytułem: „Właśnie leci kabarecik”. Koleżeństwo postanowiło uczcić trud wyętej pracy i w garderobie wznieść toast symbiotycznym kieliszeczkiem zacnej wódeczki. Ni stąd, ni zowąd zrobiło się grubo po północy. Ponieważ pan Janek czuł się znakomicie (podobno się oszczędzał) postanowił swoim samo-



Jan Kobuszewski

chodem wrócić do domu. Tym bardziej, że o tej godzinie ruch w Warszawie był zerowy a o taksówce można było wtedy pomarzyć. Ledwie wyjechał z telewizyjnego parkingu na ulicę Woronicza, ujrzał czerwone światelko latarki w rękach funkcjonariusza Milicji Obywatelskiej. Oczywiście zatrzymał się, wyłączył silnik i oparłszy się o drzwi dumiał co by powiedzieć, gdyż zdawał sobie sprawę że trochę promili w organizmie jednak posiadał. W pewnym momencie jeden z funkcjonariuszy otworzył drzwi jego samochodu. Pan Jan bezwładnie wypadł z auta w przymię śniegu wprost pod nogi sierżanta. Ten zaświecił mu w twarz:

– *Panie Janeczku... My tutaj stoimy, marzniemy pilnując porządku publicznego, a pan sobie jaja robi!*

Funkcjonariusz pomógł Kobuszewskiemu wstać, po czym wydarł z bloczka mandat:

– *Pan podpisze się na drugiej stronie dla żony, bo kobita nie uwierzy mi że z panem gadałem – Halina jej jest.*

Aktor w pośpiechu złożył autograf z dedykacją.

– *Dzięki wielkie i... Panie Janeczku, jedź pan pomalutko bo zajebicie ślisko!*

Z duszą na ramieniu, z lekko trzęsącymi się rękoma odjechał.

PS

Zgodnie z zaleceniem stróża prawa – „pomalutko”.

Kiedy dostałem się do krakowskiej PWST okazało się że na czwartym roku studiuje mój krajan, a nawet absolwentem tego samego kaliskiego liceum Jerzy Kryszak. Co jakiś czas urządzaliśmy sobie rodzaj pewnego happeningu.

Wypożyczaliśmy z magazynu kostiumów Szkoły Teatralnej ubrania z innej epoki i szliśmy „na kolację” do najdroższej restauracji w Krakowie, jakim był „Wierzynek”. Przez obsługę lokalu, byliśmy postrzegani jako sympatyczni odmienicy lub dziwacy. Siadaliśmy z Jureczkiem przy stoliku i zamawialiśmy zawsze to samo: Dwa piwa i podwójne frytki. Któregoś dnia zauważyliśmy, że jesteśmy obserwowani przez dwie damy siedzące nieopodal – ewidentne prostytutki, ale z tzw. „strefy dolarowej”. Podeszedł do nas kelner, skłonił się i uprzejmie spytał:

– *Dla Panów jak zwykle to samo?*

– *Jes!* – Odpowiedział z uśmiechem Jurek.

Od tego momentu panienki nie spuszczały z nas oczu. Wypiliśmy, zjedliśmy, uiściliśmy rachunek po czym zesłaliśmy na dół do szatni. I wtedy obok nas pojawiły

się owe panny, które w pośpiechu podały szatniarzowi numerki i prowokacyjnie zaczęły ubierać swoje „wypasione” kurtki ze srebrnych lisów. My uśmiechając się życzliwie, założyliśmy swoje surduty, kapelusze i zamasyście odrzuciwszy szale do tyłu ruszyliśmy do wyjścia – oczywiście panny za nami. Kiedy wyszliśmy na ulicę zauważyliśmy, że przed wejściem do lokalu stał zaparkowany na amerykańskich numerach rejestracyjnych przepiękny... błękitny pontiac. Jurek bez słowa ruszył do drzwi od strony kierowcy a ja pasażera. Złapał za klamkę i okazało się, że samochód był otwarty! Ja zgłupiałem, ale Jurek z pełną powagą nie tracąc rezonu trzasnął drzwiami i głośno oznajmił:

– *Kaman, lets go! tu de klab* – i wskazał laszczką kierunek.

Przeszliśmy na drugą stronę ulicy i udaliśmy się do studenckiego klubu „Jaszczury” po czym pośpiesznie wyszliśmy tylnym wyjściem i uchachani pobiegliśmy do akademika. Nazajutrz od „bramkarzy” dowiedzieliśmy się, że dziewczę nie dała za wygraną i wykupiwszy bilety długo poszukiwały w klubie amerykańskich dziwaków. I znalazły... właściciela pontiaka z którym po pewnym czasie odjechały w siną dal!

PS

Lubię dobre zakończenia!

Z Januszem Gajosem nie miałem przyjemności grać na scenie, ani w filmie, ale w życiu... owszem! W latach osiemnastu spędzałem wakacje w Łazach nad morzem. Gajos mieszkał w ośrodku filmowców z żoną Barbarą i córką Agatką, a ja obok z rodziną w wynajętym pokoju z widokiem na morze. W budynku w którym mieszkaliśmy, była na dole restauracja-kawiarnia, gdzie wieczorami odbywały się sympatyczne biesiady. I właśnie na jednej z nich poznałem Gajosów. Wakacje były super... niestety urlop Basi się skończył a ich córka miała jeszcze zaplanowany wyjazd na obóz, więc musieli wracać do domu. Ponieważ Janusz nie miał żadnych zajęć, zaproponowałem, aby został i za tydzień moim samochodem wrócimy razem do Warszawy – i tak też się stało.

W drodze powrotnej za Toruniem, zatrzymała mnie drogowka – radar!

– *Kurwa... jest problem* – wydukałem opierając głowę na kierownicy.

– *Jacek spoko, to nie koniec świata.*

– *Nie mam prawka. Odebrane mam na sześć miesięcy. Zostało jeszcze dwa...*

Wysiedliśmy z samochodu i idąc w kierunku patrolu, Janusz zaczął potwornie głośno mnie opieprzać:

– *I gdzie żeś tę „pederastkę” zostawił?*

– *Nie wiem... – uczniwie odpowiedziałem, gdyż nie miałem pojęcia o co mu chodzi?*

– *Jak nie wiesz?! W knajpie w Toruniu jeszcze ją miałaś, bo płaciłeś rachunek – to pewnie tam!*

Pomału zaczynałem się domyślać... Podeśliśmy do milicjantów a Gajos nie zwracając na nich najmniejszej uwagi kontynuował:

– *I co w niej miałaś!?* – ryknął.

– *No... portfel... dowód, kartę wozu, prawko.*

– *Mniejsza z dokumentami! Były tam moje pieniądze które ci dałem?*

– *Niestety.*

– *Ty durniu! Mówiłem ci żebyś dał je swojej żonie! Widzicie panowie jaki cymbał – zwrócił się do milicjantów – Zostawił w restauracji saszetkę a w niej całą moją garzę, którą produkcja przysłała mi przekazem!*

– *Dużo?* – spytał nieśmiało jeden z milicjantów.

– *Panie władzo, przez gardło nie chce mi przejść – całe dwadzieścia tysięcy!*

– *Ile?! – chórem spytali gliniarze.*

– *Dwadzieścia tysięcy!!*

Janusz był tak przekonywający, że ja z autentycznymi łzami w oczach wtrąciłem:

– *Panowie, moglibyście się połączyć z Toruniem z Hotelem Kosmos?*

– *Niestety, nasza krótkofalka nie działa, ale za dziesięć kilometrów, będzie posterunek tuż przy szosie i stamtąd możecie panowie zadzwonić.*

– *Jacek.... Szybko, jedziemy!*

– *Tylko nie szybko – powiedział drugi milicjant. – Przed wiaduktem, za torami... też stoimy.*

Janusz przybił piątkę mundurowemu i biegiem ruszyliśmy do auta. W samochodzie moja żona powiedziała:

– *Wiecie chłopaki, dałabym wam po Oskarze. A współczucie w oczach milicjantów – bezcenne!*

PS

Za zakrętem stanąłem i zmieniłem się z Januszem za kierownicą, wszak... „przed wiaduktem, za torami też stoją”!

Wracałem do Warszawy z Basią i Marysią Winiarskimi i Jackiem Czyżem – czyli z ka-

baretem „Figlik” moją świeżo nabytą „Ładą Samarą” ze spektaklu w Lublinie. Wszyscy w świetnych humorach – z wyjątkiem mnie, bo prowadziłem. Piękna pogoda, pusta szosa więc grubo powyżej dozwolonej prędkości testowałem swoje nowe auto. W pewnym momencie zobaczyłem z daleka, że jakiś facet przegania krowy z jednej strony na drugą. Widząc całą sytuację zwolniłem, gdyż została jeszcze jedna krowa. Kiedy łaciata przeszła znów „depnąłem”, ale coś mi za blikowało na asfalcie. Zacząłem potwornie hamować. Opony z których leciał dym, piszczały jak w amerykańskich filmach akcji. Z „kurwą na ustach”, zatrzymałem się dosłownie półtora metra od... krowiego łańcucha rozciągniętego na całej szerokości szosy i przerażonego chłopka w berecie. Nieogolony kretynerwowo się szczyrzył pokazując wszystkie pięć zębów. Nie muszę chyba mówić, co by się stało, gdybym z pokazną prędkością przejechał po tej „łańcuchowej zaporze” – wolę nie myśleć. Odkręciłem szybę i do bladego szczyrbola, który był bardziej wystraszony niż ja wypaliłem, a emocje moje ze względu na jego trzęsące się nogi i brodę oraz przerażenie w oczach z każdym słowem opadały:

– *Ty!!! Ty!! Ty! Niech... ci!.. Niech tego... Niech pan nigdy... niech pan tego nigdy, więcej nie robi. Dobrze?*

– *Yyyhy* – odpowiedział.

Zakręciłem szybę i z łomoczącym sercem ruszyłem. Dopiero po chwili zauważyłem, że moje szanowne koleżeństwo dusiło się ze śmiechu a Jacek Czyż ze łzami w oczach podsumował:

– *Ale żeś go opierdolił – nie ma co!*

Pozdrawiam wszystkich moich Drogich Polonusów i życzę wszystkim wspaniałej meteorologicznej i duchowej WIOSNY – broń Boże nie zimowej. Do zobaczenia!!!

I jak mówił niezapomniany Jan Tadeusz Stanisławski w Radiowej Trójce w swoim autorskim programie „Wyższość świąt Bożego Narodzenia nad świętami Wielkiej Nocy”: To by było na tyle. ■



Jack Czyż, Maria i Basia Winiarskie, autor

„Zielona Akademia” teatru Łejery z Poznania w Utrechcie



AGNIESZKA LONSKA

Wiosna w Utrechcie! W sobotę 6 kwietnia zazieleniło się nie tylko w przyrodzie, ale także na scenie teatru. Na zaproszenie Pools Podium – Scena Polska do Holandii przyjechała grupa młodych aktorów z teatru szkolnego „Łejery” im. Wandy Chotomskiej z Poznania. Prawie godzinny muzyczny spektakl „Zielona Akademia” opowiadał o przyrodzie, ziemi, konieczności dbania o planetę. Przesłanie dzieci do dorosłych, aby żyć ekologicznie jest aktualne od lat i po raz kolejny w tym przedstawieniu dobitnie wybrzmiało w tekstach piosenek napisanych przez Wandę Chotomską.

Młodzi aktorzy oczarowali publiczność! Na scenie działo się tak dużo, tak ciekawie, że nie było czasu na nudę i nawet najmłodszy widzowie do końca oglądali przedstawienie z niesłabnącym zainteresowaniem. Na zakończenie kilka słów do obecnych wygłosił założyciel szkoły pan Jerzy Hamerski. Z radością zaśpiewaliśmy „Sto lat” jednej z aktorek, która tego dnia kończyła 12 lat. Była okazja do wspólnego zdjęcia na scenie. Piosenki ze spektaklu można było zabrać ze sobą do domów na płycie CD, którą można było kupić w foyer teatru.

Forum Polskich Szkół w Holandii miało przyjemność być partnerem tego wydarzenia. Bilety na spektakl można było wygrać na Wierszowisku, rodzina która je wylosowała również była obecna. Leon Pytel (11 lat) z Polskiej Szkoły w Tilburgu o spektaklu powiedział tak:

„Bardzo lubię przedstawienia teatralne. Sam występowałem kilka razy na scenie i bardzo mi się podobało. Na dziesięciminutowe występy w Wierszowisku przygotowywałem się kilka tygodni. Podziwiam młodych aktorów, że zapamiętali tak dużo tekstów i piosenek. Przedstawienie bardzo

mi się podobało, jestem pod wrażeniem zgrania i zaangażowania dzieci. Sztuka nie miała zbyt dużo dekoracji, ale aktorzy świetnie odegrali swoje role. Z niecierpliwością czekam na kolejne przedstawienia”.

Zapytaliśmy też o wrażenia mamę Leona panią Jagodę: „Bardzo lubimy teatr, obserwować grę aktorów i ich emocje. Po wizycie w kinie zaraz zapominamy o czym był film a po przedstawieniu dzieci często wspominają różne sceny czy nucą piosenki. Cieszymy się, że aktorzy z Polski chcą przyjeżdżać do nas do Holandii. „Zielona Akademia” bardzo nam się podobało. Dzieci w fajny sposób przedstawiły ważny problem ochrony środowiska. Aktorzy świetnie odegrali swoje role. Tylko córka (prawie 5 lat) ciągle pytała dlaczego oni są tacy smutni? Przedstawienie było naprawdę super!”.

To był piękny, ciepły dzień w Utrechcie! Spotkali się na widowni zarówno stali bywalcy – przyjaciele Sceny Polskiej – jak i nowi widzowie, w tym uczniowie szkół polonijnych z Oss, z Hagi, z Wageningen, z Tilburga. Było radośnie, zielono, miło, wiosennie! Kto był – ten wie – kto przegapił okazję – ma czego żałować! ■



Teatr Zimihc Zuilen 6 kwietnia-aktorzy i publiczność razem na scenie!

Fot. autorka

Poznańska pedagogika „Łejerska”



KATARZYNA SADOWSKA

„Jest takie poznańskie zawołanie, wyrażające pozytywne raczej zaskoczenie, radość z czegoś, czego mogło nie być, co zdarzyło się mimo zagrożeń – to jest to słynne łejery!, wykorzystane w nazwie zespołu i szkoły, grupy, która tak właśnie się nazwała i taka właśnie jest”.

Edukacja otwartych umysłów

„Łejery” powstały w 1975 roku w Poznaniu jako dziecięcy teatr gromadny w ramach Harcerskiej Drużyny Artystycznej z inicjatywy wybitnego pedagoga – Jerzego Hamerskiego, do którego w latach 80 – tych dołączyła Elżbieta Drygas. Harcerskie „Łejery” zamieniły się z czasem w dziecięce i młodzieżowe grupy teatralne, by w 1990 roku przekształcić się w Szkołę Podstawową „Łejery” o profilu teatralnym. Jak zaznacza Druh Jurek, celem przyjętym w placówce nie jest kształcenie aktorów z wykształceniem podstawowym, a wykorzystanie teatru i wychowania przez sztukę do wspomagania wszechstronnego rozwoju dzieci.

W „Łejerach” istotne jest wdrażanie dziecka do „samodzielności, odpowiedzialności, „niezależności od opinii innych ludzi, wyrażania uczuć żalu, złości, mówienia <nie>, obrony własnych praw, sposobów rozwiązywania konfliktów, także wyrażania uczuć pozytywnych, poznawania siebie, tworzenia własnego pozytywnego portretu, lubienia siebie. A gdy to nie pomaga, to wyładowania złości na poduszce, uspokojenia przez jogę i relaks”.

Jurek Hamerski wraz z Elą Drygas stworzyli szkołę bez dzwonek, szkołę o teatralnym charakterze i harcerskich tradycjach, szkołę, co na warunki polskie dość rzadkie, demokratyczną.

Scena Wspólna...

„Teatr jest po to...”

„Po wieloletnich staraniach udało się zbudować przy szkole teatr, który od września 2013 roku stał się Sceną Wspólną Teatru „Łejery” i Centrum Sztuki Dziecka w Poznaniu. Jest on miejscem prezentacji zarówno teatrów dziecięcych i młodzieżowych, jak i spektakli zawodowych, wartościowych wychowawczo

i artystycznie, adresowanych do tych grup wiekowych”.

Scena wspólna, mieszcząca się w Poznaniu na ul. Brandstaettera 1, to miejsce, które łączy w sobie sztukę i edukację. Odbývające się na scenie wydarzenia kulturalne pełnią przede wszystkim funkcję dydaktyczną. Wśród wydarzeń takich odnotować można wystawy, projekcje, dyskusje, koncerty, spektakle, także z udziałem młodych uczniów oraz absolwentów Szkoły Podstawowej nr 83 w Poznaniu.

w rozwoju poprzez tworzenie dla niego ofert edukacyjnych w przestrzeni fizycznej i społecznej. Misją pedagogiczną J. Hamerskiego i E. Drygas jest wychowanie człowieka zaangażowanego, zdolnego do przetworzenia świata.

Łejery to...

„<Łejery> to teatr, który, będąc syntezą wielu sztuk, dostarcza form i metod do pracy wychowawczej i dydaktycznej. Teatr będący środkiem, a nie celem. <Łejery> to łamanie stereotypów, to innowacyjność to



Elżbietka Drygas i Jerzy Hamerski

Hamerski od lat udowadnia, że scena teatralna w szkole jest tak potrzebna, „jak sala gimnastyczna w szkole sportowej”, a wcześniejszy „brak sceny sprawiał, iż szkoła była okrętem bez żagli”.

„Czym skorupka za młodu...”

Jerzy Hamerski w swoim dziele pedagogicznym nawiązuje do „Makusynów” Zbigniewa Czarnucha, a także do osiągnięć Profesora Heliodora Muszyńskiego:

„Myślę, że tajemnica tak długiego trwania zespołu tkwi w ustalonym na początku pomysle wychowawczym i dostosowanych do niego metod i form pracy, a przede wszystkim w fantastycznych pedagogach i artystach, których udało mi się gromadzić wokół siebie. Miałem też wielkie szczęście do mistrzów: Heliodora Muszyńskiego i harcmistrza Zbigniewa Czarnucha twórcy zielonogórskich <Makusynów>, u których terminowałem jako czeladnik”.

Druh wspomina także, iż przez całe życie konstruując i doskonaląc koncepcję pedagogiki „Łejerskiej” ustawicznie poszukiwał „nowych, własnych ścieżek, wyznaczających życie gromady, czyli innowacji”.

W koncepcji pedagogicznej „Łejerów” „w centrum jej zainteresowania znajduje się człowiek, dziecko. Dziecko, które ma prawa, które jest sprawcze, którego nie należy urabiać i standaryzować, a które należy wspierać

ciągle poszukiwanie niekonwencjonalnych sposobów nauczania, wnoszenie w życie szkoły polotu, fantazji, nowych pomysłów programowych.< Łejery> to wytrwałość i determinacja w dążeniu do celów, to optymizm i odwaga w sytuacjach, gdy wydaje się, że zadanie jest bardzo trudne, a nawet pozornie niemożliwe do osiągnięcia”.

Misją pedagogiki „Łejerskiej” jest „czczenie pogodnego oblicza”, bowiem „Łejery” „to optymistyczny styl życia w gromadzie, w której jest bezpiecznie i radośnie. To atmosfera pogodnego współżycia z dystansem do siebie i poczuciem humoru. Ten radosny styl dominuje w <Łejerskim> repertuarze artystycznym”.

„Łejery” to wreszcie rodzinność, „to uznanie rodziców jako równorzędnego podmiotu szkolnej społeczności, to zapraszanie do <Łejerskiej rodziny> ludzi sztuki, to „nauka demokracji, wychowanie do społeczeństwa obywatelskiego, kształtowanie współodpowiedzialności za dobro wspólne, a szkoła „to miejsce prawdziwie demokratyczne, w którym uczniowie doświadczają demokracji w praktyce”.

„Łejery” to także „pознаńskość, to kształtowanie postaw patriotyzmu lokalnego poprzez poznawanie historii, kultury, tradycji i współczesności Poznania i Wielkopolski (<Małej Ojczyzny>), a także poprzez kształtowanie postaw otwartości na innych”.

Holendrzy świętują „Koningsdag – Dzień Króla”

27 kwietnia Holandia staje się pomarańczowa, ponieważ król Willem Alexander obchodzi swoje urodziny. Ulice są przyozdabiane flagami i balonami. Wszędzie dostępne są pomarańczowe gadzety, ludzie malują twarze, zakładają peruki i się przebierają. Większość osób ma tego dnia wolne, więc może uczestniczyć w królewskich grach takich jak – koningsspelen. To różnego rodzaju aktywności dla dzieci, mające na celu zachęcić do zdrowego stylu życia. Ponadto w Dniu Króla w całym kraju otwiera się wiele jarmarków z szeroką gamą towarów. Organizowane są też liczne festyny i parady.

PS. Fundacja „hOlendry” przedstawia swoje inspiracje modowe na Dzień Króla



Gratulacje z okazji 90-tych urodzin

Płyną lata, a Oni się nie starzeją. W tym miejscu składam moim serdecznym przyjaciółkom z Nowej Róży i Bukowca, Marii i Florianowi życzenia z okazji 90-tych urodzin i powtarzam, to co kiedyś usłyszałam: „To niemożliwe, że tacy młodzi ludzie mają tyle lat”. Ale młodość to nie tylko wiek, to charakter, stosunek do ludzi i świata, pracowitość i uczciwość. O Marii Bilskiej pięknie napisała Małgosia Annusewicz w artykule obok.

A moja przyjaźń z Marią trwa już prawie trzydzieści lat. Jak tylko pamiętam, była na wszystkich imprezach organizowanych przez nas w Nowej Róży, a ja towarzyszyłam Jej na imprezach wiejskich i powiatowych, łączyła nas nasza społecznikowska pasja. Dziękuję Tobie Marysiu za wiedzę, którą się ze mną dzielisz. Nie nauczysz mnie wyplatania wieńców dożynkowych, ale uczę się od Ciebie zaprawiać ogórki i zbierać runa leśne oraz zioła z pól. I mam nadzieję, że wciąż masz mi dużo do przekazania z Twoich życiowych mądrości! Żyj długo i zara-



żaj nas nadal radością i życiowym optymizmem. Drugi solenizant to Florian Patan, nie było jeszcze okazji pisać o Jego zasługach dla Sceny Polskiej i Fundacji „hOlendry”, ale wciąż aktywnie nas wspiera, więc jeszcze będzie okazja. Czy dlatego został kiedyś strażakiem, że Jego imiennik Święty Florian jest patronem strażaków? Myślę, że nie. Został strażakiem, żeby pomagać ludziom. Jest wzorem dla swoich druhów z ochotniczej straży pożarnej w rodzinnej wsi. Niezwykle życzliwy, nie odmawia pomocy gdy sąsiedzi o nią pytają. Jako cieśla nie może odpędzić się od pracy. Ale...potrafi też czerpać radość z uczestnictwa w życiu społecznym. Od lat śpiewa w chórze przy Domu Kultury, działa w radzie parafialnej i w drużynie straży pożarnej. W naszym siedlisku leśnym w Nowej Róży pomaga przygotować letnie imprezy Sceny Polskiej i Fundacji „hOlendry”. Florkowi zawdzięczamy, że to wszystko działa! A jak już wszystko działa, to można pójść na grzyby to pobliskiego lasu. Florku, tak trzymaj!

Wrodzony optymizm Marii Bilskiej



MAŁGORZATA ANNUSEWICZ

Pani Maria Bilaska niedawno skończyła 90 lat. I mimo wieku, artretyzmu, kłopotów z nogami uśmiech gości na jej twarzy bardzo często. A życie jej nie rozpieszczało. Ma sześcioro dzieci, doczekała się 17 wnuków i 18 prawnuków. Prowadziła duże gospodarstwo. Dom, w którym mieszka kupiła w latach 70. ubiegłego wieku. – *Musieliśmy z mężem zbierać dużo pieniędzy. Cóż było robić. Hodowałam trzodę, krowy, uprawialiśmy 15 hektarów ziemi. Musiałam sprzedać 60 tuczników, by kupić ten dom. Wie pani ile to pracy? Ogrom. Ale się udało, nigdy nie bałam się ciężkiej pracy. Przecież były dzieci, duże potrzeby. Dom był potrzebny. Dzisiaj mieszkam w nim z najmłodszą córką Beatą, mąż nie żyje już 8 lat – wspomina.*

W jej pokoju jest wiele kwiatów, otacza się nimi jakby w palmiarni, w kącie stoi kołowrotek. W dobie komputerów, niewiele wie jak wygląda kołowrotek, a już na pewno jak się na nim pracuje. Kiedy latem odwiedziłam panią Marysię ukazał mi się niecodzienny obrazek. Starsza pani siedzi na zydełku przy oknie i przędzie. Tak – przędzie włóczkę. – *Kto dzisiaj potrafi prząć, ba – kto ma kołowrotek w domu? – pytam samą siebie. A pani Marysia jakby nigdy nic tłumaczy: – Bo sąsiad w Róży ma owce. To i je strzyże. Ma wełnę. Dzisiaj nikt nie potrafi prząć, a ja potrafię zrobić włóczkę. Już zrobiłam 10 motków. Przydadzą się. Zrobię wnukom skarpety, rękawiczki – wylicza. Proponuje – może pani zrobić?*

Na półkach stoją przeróżne rzeźby z korzeni. – *Chodzę do lasu i rozglądam się. Przyroda tworzy takie piękne rzeczy. Wystarczy je odpowiednio ułożyć, skomponować i rzeźba gotowa – tłumaczy. Otrzymała za nie wiele nagród w przeróżnych konkursach.*

Do lasu chodzi kiedy tylko zdrowie pozwoli. A kiedy bolą nogi, to bierze ze sobą rower. Jeśli ktoś myśli, że starsza pani na nim pedałuje – to nic z tego. Pani Marysia, wykorzystuje go jako chodzik. Do tego laska. i... pędzi w zarośla po leśne skarby. Ma swoje miejsca na rydze, prawdziwki, podgrzybki, jałowiec. Latem robi zaprawy. Kiszzone ogórki, dynie, cukinie, śliwki, wiśnie, jago-

dy. Włoskie orzechy rozłupuje i rozdrabnia w moździerzu. Zastanawiam się: komu by się chciało? nie łatwiej kupić w supermarkecie już łuskane? Pani Marysia tłumaczy mi: bo takie utłuczone mniej miejsca zajmują, więcej zmieści się w słoiku. Mogę nawet zrobić orzechową mękę. Takie orzechy lubił prezes Ryszard Napierała. Mam jeszcze słoiczek przeznaczony dla niego – wskazuje na słoiczek stojący na szafce. Kiedy on do mnie przyjeżdżał też zawsze coś dla mnie miał. – *Nie zapomnę jak przywiózł mi chyba z dziesięć kaczek. Ale była wtedy radość – śmieje się. Ja dostałam od pani Marysi mrożone śliwki. Jakież było moje zdziwienie, gdy zobaczyłam, że każda śliwka jest nacięta w krzyżyk. – Bo takie ładnie wyglądają potem na cieście –*



Maria Bilaska z urodzinowym tortem

tłumaczyła. Pani Marysia suszy zioła. A kiedy pytam: nie brak pani siły na to wszystko? Słyszę – a jak przyjdzie zima, a spiżarnia będzie pusta, to zima mnie zapyta: a coś ty latem robiła? I wtedy wstyd. A tak...

Znajomi pani Marysi żartują, że ma dwie dusze: artystki i społecznika. Przez 16 lat była sołtysiem wsi Nowa Róża, przewodniczącą Koła Gospodyń Wiejskich. Angażuje się w działalność rady parafialnej przy kościele pw. Św. Andrzeja Boboli w Sątopach. W 1982 r. postanowiła postawić krzyż na rozdrożu w Nowej Róży. Kapliczkę wymurował jej mąż Bronisław. Pani Marysia dba o to miejsce do dzisiaj. Stoją tam dwie figurki Matki Boskiej. – *Tę starszą dostałam od rodziny, która wiozła ją w walizce z Syberii do Polski. Więc kiedy mąż wymurował grocie postawiłam obie figurki. Zastępują na to. Jest też symboliczny duży glaz-tumaczy. – Jako sołtys Nowej Róży mobilizowałam mieszkańców do wielu prac społecznych.*

Zależało mi by wieś jednoczyć. By ludzie byli sobie bliscy – wylicza. Taką wspólnotę najlepiej wyrabiał się podczas wspólnych prac. Na przykład robienia wieńców dożynkowych. Była w tym mistrzynią. Do dziś, młode gospodynie proszą ją o wsparcie przy pracy. Bo zrobić taki wianek to sztuka i ogromna umiejętność. Nie każdy je posiada.

– *Przy drodze do wiejskiej świetlicy posadziłam rząd lip. Rosną zdrowo i dumnie. To był mój pomysł, ale w wykonaniu tej alei pomógł mi ówczesny leśniczy. Lipy przy drodze to szczęście – zapewnia. Lipy, lipami, ale świetlicę wiejską również wyremontowała. – W jednym z pokoi był piękny, kaflowy piec. Z zielonymi, rzeźbionymi kaflami. Dzisiaj już go nie ma. Uratowaliśmy też piec chlebowy – dodaje.*

– *Marysia to niesamowicie serdeczna kobieta. Przy niej strach powiedzieć, że się czegoś potrzebuje. Bo za dwa dni już to dostaje. Taka serdeczność i życzliwość w tych czasach się nie zdarza – wspomina pani Wiesia Szczechowiak z Róży. A jej mąż – Mieczysław, wieloletni sołtys Róży uważa, że bez pani Marysi świat byłby uboższy. – Zawsze podziwiałem najwyższe walory osobowe, etyczne i moralne naszej Jubilatki. Wiele lat pracy poświęciła na rzecz polskiego rolnictwa, polskich tradycji i rozwój środowiska wiejskiego – wylicza.*

To z jego inicjatywy, na uroczysty obiad zorganizowany przez rodzinę przyszli przedstawiciele władz. Przyniesli dyplom i kwiaty. Nie obyło się bez wspomnień wielu lat wspólnej pracy. Niestety zabrakło Ryszarda Napierały, wieloletniego prezesa Regionalnego Związku Rolników, Kółek i Organizacji Rolniczych w Poznaniu. Jeszcze w tamtym roku umawialiśmy się na kolejne urodziny. Wiele lat pracowaliśmy ze sobą, byłam jego zastępcą. Był niezwykle pomocnym, serdecznym kolegą. Ale nagle, w styczniu tego roku zmarł. Nawet myślałam, żeby uczcić tego wspaniałego społecznika minutą ciszy. Ale było tyle emocji, tyle wzruszeń, że zapomniałam – martwi się pani Marysia. I szybko dodaje: – *Najważniejsze, że były dzieci: Krystyna, Ewa, Marek, Michał. Zabrakło Stefana. Kiedy siedziałam przy jego łóżku, w ostatnich chwilach życia powiedział: bardzo ci mamę dziękuję za wszystko co dla mnie w życiu zrobiłaś. Te słowa cały czas brzmiały mi w uszach, choć Stefan już ponad rok nie żyje – wspomina.*

Pani Maria to dobry duch Nowej Róży. Wieś nie tylko Jej wiele zawdzięcza, Ona jest jej historią bo nie tylko ją tworzy, ale i dba, by młode pokolenie pamiętało i znało historię Nowej Róży. Wieś jest bardzo rozległa, podzielona polami i lasami. Czasem trudno trafić pod dokładny adres. Ale wystarczy zapytać: A wie pan gdzie mieszka pani Maria Bilaska? Wszyscy wiedzą: „No to od Jej domu to.....”.

Poziomki ze śmietaną



ALEK SILBER

Płowy blondyn Iwar, podobnie jak jego siostra Teresa, mieszkali z rodzicami w Oslo i jak wielu Norwegów posiadali wiejską dachę czyli Hytte. Korzystając z lata stulecia zaprosili mnie tam na weekend. Pojechaliśmy nas pięcioro: Iwar, jego narzeczona Karin, Teresa, jej koleżanka Inga i ja. Nawet nie będę próbował opisać widoku skalistych fiordów, rwących potoków, strzelistych sosen i tundrowatych kosodrzewin. Jeśli istnieje definicja nieopisanego piękna, to na pewno powstała właśnie tu, w Norwegii. Taki krajobraz towarzyszył nam w drodze do dachy. Chatka stała w lesie, przy małym jezioru. W oddali, poprzez drzewa widać było inne domki w podobnym stylu, zbudowane z belek jak chaty góralskie. Zgodnie z tradycją na dachu rosła trawa i polne kwiaty. Wyposażenie było podstawowe; parę materaców rzuconych na drewniane ławy, mała wnęka na kuchenkę i butla gazowa. W głównej izbie stół i ławy. Nie było tu ani elektryczności, ani bieżącej wody.

Po lunchu Iwar zaszył się w las ze swoim aparatem fotograficznym, dziewczyny opalały się koło domku, a ja strugałem sobie patyczek. Ktoś wpadł na pomysł, żeby na śniadanie zrobić świeże poziomki w śmietanie. Okazało się, że nie mamy śmietany, na co Karin zaferowała się pojechać do sklepu. Inga i Teresa postanowiły dołączyć. W tym układzie dołączyłem i ja, tak że pojechała nas czwórka. Nie wiem, czy to poczucie nagłej wolności, oczekiwanie przygody, czy ogólna radość istnienia wprawiły dziewczyny w wesoły, niemal euforyczny nastrój. Krzyczały, śpiewały, wygłupiały się jak nastolatki. Nie rozumiejąc języka byłem niejako na marginesie zabawy, a one zapomniały o mojej obecności. Wjechawszy do miasteczka Karin zwolniła. Po chodniku szedł jakiś młody facet. Teresa spuściła szybę i gwizdnęła na niego, po chwili dołączyły koleżanki, zaczęły krzyczeć, wymachiwać rękami, on im coś odkrzykiwał, śmiał się. Scena powtórzyła się za zakrętem, potem jeszcze raz. Moje

współpasażerki zaczęły facetów! Tak im się spodobała ta zabawa, że gdyby nie moje przypomnienie, zapomniałyby o śmietanie, a gdyby nie moja obecność, to – kto wie?

Wieczorem zapaliliśmy świeczki i zasiadliśmy do gry w lotto, widocznie było to tradycją tych wyjazdów. Inga rozdała karty z numerami i zaczęła wyjmować z woreczka drewniane baryłki, głośno wywołując liczby. Kiedyż to ja grałem w lotto? Iwar wstał i z tajemniczą miną poszedł do wnęki, po chwili wrócił z dużą butelką brandy. Wywołało to głośny aplauz, na stole błyskawicznie pojawiły się szklaneczki i wypiliśmy zdrowie naszego dobroczyńcy. Poprawiło to wszystkim humory i entuzjazm do zabawy. Posypały się kawały i żarty. Czy wiedziałeś – śmiała się Karin – że jeśli obrócić Norwegię wokół Oslo, to jej północny koniec sięgnie Mediolanu? Skądże mogłem wiedzieć? Nie wiedziałem także o rywalizacji między Bergen i Oslo. Bergen szczyści się pięknym położeniem, drewnianą starówką i festiwałem muzyki Griega, za to ich klimat jest tematem niekończących się anegdot. Patrioci Oslo z satysfakcją opowiadają o turyście, który zaczął na ulicy w Bergen małego chłopca – powiedz mi młody człowieku, czy tu zawsze pada deszcz? – Nie wiem – odpowiedział małe – mam tylko dziewięć lat.

Gra toczyła się dalej, tekturowe karty zaczęły się wypełniać baryłkami i nie kończyły się kawały. Z upływem czasu i alkoholu coraz więcej mówili po norwesku, co dawało mi pewien dystans. Patrzyłem na mieniące się w blasku świec roześmiane twarze i na ich odbicie w szybie okienka. Wodziłem ręką po chropowatej powierzchni belki na ścianie, czułem wytarte słoje drewnianego stołu i uśmiechałem

się do swoich myśli. Siedząc z nimi tutaj, byłem przecież tak daleko. Oni nie mogli wiedzieć, nie mogli przypuszczać, że dla mnie była to chwila, o której mówi Faust. Tyle skojarzeń, niespodziewane drgnienie strun, których brzmienie zaginęło w czełusciach pamięci. Nie wiem, czy to z dzieciństwa, ze snów czy z podświadomych urojeń. Nagle znalazłem się w świecie tak bogatym, tak pełnym intymnych doznań, że jego pełnego znaczenia nie byłbym w stanie wytłumaczyć ani samemu pojąć. Było ono poza zasięgiem mojej świadomości. Gdybym był mistykiem, powiedziałbym, że była to podróż w zaświaty. Baryłka lotto w drobnej ręce Ingi, otwarty uśmiech Iwara, popijająca brandy Karin, wosk nierówno spływający po białej świecy, nasze odbicia w szybie, za nią ciemność lasu, śpiewny dźwięk nierozumianego języka i moja świadomość, świadomość chwili...

Nie zauważyliśmy, kto wygrał, nie było przegranych. Tylko Teresa z nutką żalu wyłała ostatnie krople brandy. Iwar z rezygnacją położył pustą butelkę na stole, ucichły śmiechy i wyglądało na to, że zabawa się wybawiła, kiedy nagle Karin podskoczyła z krzesła – Wiem! – Krzyknęła. – Zagramy w butelkę! – Iwar nie ukrywał zdziwienia, ale nie oponował.

Siedliśmy na podłodze i butelkę kręciliśmy kolejno. Ale czy to zrzędzeniem losu, czy z pomocą kręcących, najprędzej traciły ubrania Karin i Inga. Początek gry pozbawiony był napięcia i grający bez żenady pozbywali się swetrów, spodni i spódniczek, ale kiedy butelka kręcona przez Karin odwróciła się na nią samą, wszyscy krzyknęli. Miała do wyboru biustonosz albo majteczki. Bez ceremonii zdjęła stanik i rzuciła na ławę. Niedługo pozostałym dziewczynom pozostała już

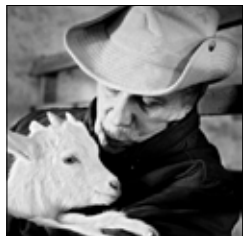


tylko bielizna, a Iwar i ja mieliśmy jeszcze dodatkowo koszule i skarpetki. Napięcie rosło, w finale pozostały same panie. Butelką kręcił Iwar, rozejrzał się po grających, próbując nadać butelce określony kierunek. Sądząc po jego minie, udało mu się. Zwyciężyła, o ile można to tak określić, Inga. Pierwsza stanęła w stroju Ewy i demonstrując prawdziwie skandy-nawskie wyzwolenie, przeszła krokiem modelki po pokoju. Szczęście, że byliśmy w lesie a nie w bloku, bo towarzyszące okrzyki i gwizdy Karin obudziłyby wszystkich sąsiadów. Zresztą aplauz był w pełni zasłużony, bo swoje niewątpliwe atrybuty zwyciężczyni pokazywała z wdziękiem i nieukrywaną dumą.

Pierwsza usłyszała coś Teresa, uciszyła nas i usłyszeliśmy głośne pukanie do drzwi. Dziewczyny pośpiesznie owinęły się swetrami, Iwar narzucił spodnie i poszedł otworzyć. Domyśliłem się, że pukający był w kłopotcie i przyszedł prosić o pomoc. Inga zaczęła się ubierać, Iwar pośpiesznie włożył buty, chwycił klucze i pobiegł z nieznanym. Jak mi wytłumaczyła Karin, mieszkał on w jednym z sąsiednich domków, jego syn wylał na siebie gorący olej i potrzebował pomocy lekarza. Jego samochód nie chciał zaskartować, stąd prośba o pomoc. Widząc palące się u nas światło, zapukał właśnie tu, nie chcąc budzić innych. Iwar powinien niedługo wrócić, kli-nika była w pobliskim miasteczku.

Rano dziewczyny podały poziomki z cukrem i śmietaną. Wystawiliśmy stół na zewnątrz. Nie wiem, skąd Karin wy-trzasnęła srebrną zastawę i białe serwety, nie zastanawialiśmy się nad tym, a le-sne śniadanie wyglądało imponująco, aż szkoda było jeść. Przez liście drzew prze-bijały promienie słońca, nad jeziorem leniwie unosiły się poranne mgły. Roz-cwierkane ptactwo oznajmiało początek nowego dnia. Nawet dzieciół stukał jakoś melodyjnie. Inga przyniosła butelkę bia-łego wina. Nad stołem stuknęło się pięć kieliszków, za nimi spotkało się pięć mło-dzieńczych uśmiechów i zapach świeżych poziomek. Z żalem żegnałem biesiadni-ków i poziomkowy las. ■

Wiosna, wiosna, ach to Ty!



MAREK GRĄDZKI

No i w końcu nadeszła, wszak to jej pora. Ale wszystko to dziwne nie-zwykle. Po pierwsze zimą miałem wodę w piwnicy. Nie zdarzało się to przez ostatnich piętnaście lat. Śniegu nie było, lodu tyle co kot napłakał. W kwietniu zaś zapo-wiadają temperatury podchodzą-ce w termometrze pod trzydzieści stopni. Nic z tego nie rozumiem, mam już przygotowywać sa-dzonki bananowca czy jeszcze się wstrzymać. Zboża właściwie siać nie ma po co, bo z resztą która mi zostanie po zmieleniu ziarenek na mąkę, na własne potrzeby nie bar-dzo będzie co zrobić. No jednym słowem jedna wielka niewiado-ma. Jak tu żyć, Panie Boże, jeżeli jesteś, jak tu żyć? Jedyną pociechą jaka mi została to zabawa w Bie-siadownik Linie w Ogniu. Polu-biliśmy z Moim Ślubnym Szczę-ściem karmienie ludzi. To frajda niezwykła, zwłaszcza gdy rezultatem są uśmiechnięte twarze i komentarze w inter-necie, od których rumieniec zawstydzenia wypęła mi na twarz, że tak dobrze o nas piszą. Ostatnimi czasy włączyłem wyobraź-nię i postanowiłem zaeksperymentować ze świńskiej nogą. Rzecz zaczęła się od pozyska-

nia dobrego materiału wyjściowego. To się udało. Z zaprzyjaźnionej masarni dostałem część rzezoną polskiej zwisłouchej. Wiem, że w tym momencie wywołałem oburzenie części czytelników, którzy przeszli na stro-nę wege. Ale co ja mogę za to, że uważam iż natura stworzyła nas na wszystkożerów. Trawką i ziarkami jeno odżywiają się z sukcesem moje kozy i owce. Ja nie mogę. Mu-szę sobie od czasu do czasu wrzucić na ruszt

i w suchym pomieszczeniu. Po tym czasie wyciągnąłem rzezoną, już ładnie wyglą-dała, po czym powędrowała do ogrodowej wędzarni. Tam przez tydzień była okadzana letnim dymem z olchowego drewna. Żadnej sztuczności, sama natura. Efekt tych działań był nadspodziewanie dobry. Pod skórą mię-so zostało soczyste, sprężyste z dymnym aromatem i smakowite nad wyraz. Teraz tylko pozostało włączyć do działania ostrzy nóż i zacząć je skrawać. Części spod skóry przeznaczyłem jako wkład do świątecznego żurku. Całość zaś ro-zeszła się w mig wśród znajomych i przyjaciół. Eksperyment uznaję za niezwykle udany i będę go powta-rzał, bo tego godzien. Natomiast by Twoje kubeczki smakowe polechtać, Szanowny Czytelniku pokażę Ci jak wyglądał w tym roku nasz świątecz-ny, wielkanocny stół! Dzieło Mojego Ślubnego Szczęścia przy pewnym udziale córek. Prawda, że wygląda smakowicie. Tak też nakrywamy stoły w Linii w Ogniu dla naszych szanownych gości jeżeli sobie tego zażyczą. Ale cóż to, święta i po świę-tach a żyć trzeba. Przed nami jedna wielka niewiadoma, przyszłości nie przewidzisz a jak mówi stare porze-kadło p – dobrze to już było. Szaleńcy rządzą światem i gotują na niewiado-my los. Dlatego też cieszymy się tym co przynosi nam rzeczywistość dziś i nie patrzymy za daleko w przyszłość



bo i po co. Pięknej wiosny życzę i uśmiechu na co dzień.

Ziemianin w kuchni gotujący w Linii w Ogniu!

www.liniewogniu.pl
liniewogniu@op.pl, tel. +48 502267193

kawał soczystego mięsiwa. Byle tylko nie przesadzić i umiar zachować. Wracając do wyżej wymienionej nogi to na dwa miesią-ce zasypałem ją w pojemniku niejedowaną solą kłodawską, czyli kamienną. Do pudła nie zaglądałem przez ten czas. Leżało sobie w stałej temperaturze od 10 do 14 stopni

Wierszowisko

AGNIESZKA LONSKA

Są wydarzenia, które na stałe wpisały się w kalendarz polonijnych spotkań w Holandii, pod które uklada się inne plany. Takim wydarzeniem jest Wierszowisko – Festiwal Polskiej Poezji dla Dzieci, organizowany przez Forum Polskich Szkół w Holandii, który 17 marca 2024 odbył się już po raz 23. Teatr t Mozaiek w Wijchen po raz kolejny wypełnił się polonijną publicznością, a scena stała miejscem pięknych występów uczniów i uczennic szkół sobotnich z całej Holandii.

W tegorocznej edycji obejrzelśmy 10 przedstawień grupowych przygotowanych przez szkoły, w których polskie wiersze recytowało aż 137 uczestników w wieku od 3 do 15 lat. W występach uczestniczyli zarówno debiutanci, jak również dzieci występujące od lat. Najmłodszy uczestnik Antoś Soszyński ma 3,5 roku, dwie najstarsze uczestniczki Nicola Kampa i Julia Lonska mają po 15 lat. Nicola debiutowała w konkursie, a Julia jest najdłuższą występującą uczestniczką, bo występuje od 11 lat, od swoich 4 urodzin w 2013 roku. Na scenie w roli prezenatorów wróli dawni laureaci Wierszowisk – Klara Cyrys, Valeria van Halteren i Thomas Bragt. Występy szkół przygotowywało ponad 30 osób, nauczycieli, rodziców i wolontariuszy szkół. Ogromny wkład jak co roku mieli rodzice występujących dzieci. Na scenie pojawiły się kolorowe dekoracje, rekwizyty a aktorzy ubrani byli w wymyślne stroje. Występy okraszone były muzyką, tańcami, ale najważniejsze były recytowane teksty, polskie wiersze polskich autorów.

Temat Wierszowiska „I łaciate i kudłate, przegowane i skrzydłate, te co skaczą i fruują na Wierszowisko zapraszają” czyli cytaty ze „Zwierzyńca” to mrugnięcie okiem do tej części rodziców, którzy pamiętają ze swojego dzieciństwa program emitowany w TVP do końca lat 80-tych. Zwierzęta okazały się bardzo wdzięcznym tematem Wierszowiska, nie było problemów ze znalezieniem repertuaru, a oprócz klasyki czyli wierszy Brzechwy i Tuwima, które co roku są najchętniej wybieranymi tekstami, były też wiersze współczesnych autorów w tym Agnieszki Frączek, która była gościem Wierszowiska w ubiegłym roku. 10 minutowe występy oglądało się z przyjemnością, którą potęgowała dobra atmosfera konkursu i przyjazna publiczność.

Występy oceniało pięcioosobowe jury – konsul Katarzyna Smoter, konsul Dagmara Bobak, reżyserka Monika Stępień, prezeska Macierzy Szkolnej w Irlandii Małgorzata Rosek, historyk a zarazem dawny uczestnik Wierszowiska Paweł Hulsboom. Jurorzy byli zgodni nie tylko w sprawie zwycięskich miejsc, ale także w tym, że nie był to wcale fa-



1. miejsce szkoła Breda-Roosendaal

fot. Paweł Staśkiewicz

tywy wybór, bo nagrodzić chciałoby się więcej niż tylko 3 szkoły.

Wygrała Polska Szkoła Breda-Roosendaal, której przedstawienie „Bezsennosc nocy letniej” z tekstem autorstwa Franciszka Roguskiego raz po raz wywoływało wśród publiczności wybuchy śmiechu i przerywane było oklaskami. „Komary z Bredy” wróciły do domu z pucharem za I miejsce, kartonem pełnym książek i nagród oraz nagrodą specjalną od sponsora – zaproszeniem na warsztaty kulinarne do polskiej restauracji Polska Karczma w Hadze.

Miejsce II zdobyła debiutująca w występach grupowych Polska Szkoła Amersfoort za inscenizację wiersza Agnieszki Frączek „Poznańskie koziołki”. Makieta poznańskiego ratusza przygotowana jako dekoracja była imponująca! Za udany debiut szkoły odpowiedzialne były Dorota Marcinkiewicz, Krystyna Szakiewicz, Katarzyna Mitan, które przygotowały przedstawienie.

Z pucharem za III miejsce pozowała do zdjąć grupa z Polskiej Szkoły w Eindhoven. Przedstawienie „Historia krzyżaka co z muchami miał zatarg” napisane było przez nauczycielki ze szkoły Magdę Obadowską i Agnieszkę Jasik na podstawie wierszy m.in.: Agnieszki Frączek, Krzysztofa Roguskiego, Tomka Nowaczyka, Ireny Ejsymond, Zbigniewa Baryły, Aleksandra Fredry, Marii Konopnickiej, Małgorzaty Małayskiej.

Nagroda dodatkowa, Puchar Konsula, za przedstawienie „Spotkanie z autorem” trafiła do Polskiej Szkoły w Tilburgu, zwycięzców poprzedniego Wierszowiska. Spektakl z przesłaniem (o zaletach czytania) był kompilacją wierszy wielu autorów m.in. Aleksandra Fredry, Franciszka Klimka, Joanny Papuzińskiej, Marii Konopnickiej, Juliana Tuwima, Zbigniewa Dmitrocy, Jana Brzechwy, Łukasza Dębskiego, Ludwika Jerzego Kerna, a przygotowany został przez Paulinę Szczęsną.

Nagrodzone pucharami, książkami, upominkami zostały 3 szkoły, ale każdy uczestnik otrzymał medal, dyplom, torbę z nagrodami. Organizatorzy jak co roku docenili wysiłek i starania wszystkich uczestników niezależnie od roli jaką odegrali i miejsca jakie zdobyli.

Przedstawienia grupowe mają ogromną wartość dla polonijnych szkół, choć są też wyzwaniem zwłaszcza gdy grupy są liczne, a wiek uczestników zróżnicowany. Świetnie jednak integrują szkolną społeczność, pozwalają zaprzyjaźnić się dzieciom i rodzicom z różnych grup, odkrywają nowe talenty, zdolności. Dzieci odważniej występują na scenie w towarzystwie, te słabiej mówiące po polsku, które w występach indywidualnych nie biorą udziału w przedstawieniu grupowym również znajdują swoje miejsce, nabierają odwagi, pokonują treść.

Wierszowisko to festiwal i choć najważniejsze rzeczy działy się na scenie to i w foyer teatru pełno było dodatkowych atrakcji. Była okazja do spotkania i rozmowy z pisarzami, kupienia ich książek, poproszenia o dedykację. Od kilku lat obecna na Wierszowisku jest Agnieszka Zakrzewska, polska pisarka mieszkająca w Holandii. Po raz pierwszy gościem z Polski był Rafał Witek, autor ponad 50 książek dla dzieci i wielu wierszy, jego teksty można znaleźć też w polskich podręcznikach. Wiersze pana Rafała były już recytowane w poprzednich latach. Gość spotkał się dzień przed Wierszowiskiem z polonijnymi uczniami w Polskiej Szkole Nijmegen-Arnheim, a na Wierszowisku miał swój „salonik autorski”. Oglądał też występy uczestników, a spytany o wrażenia po Wierszowisku Rafał Witek powiedział: „Jestem pod ogromnym wrażeniem. Widzę, że tutaj polska poezja żyje, wiersze żyją a dzieci dają im nowe życie. Wiersze są mówione z uczuciem, ze zrozumieniem. Bardzo mi się podobało”.

Gościem z Polski był również dawny organizator Wierszowiska Tomasz Karawajczyk, który tym razem w nowej roli ze stoiskiem Pasięki Liseckiej, opowiadał o fascynującym życiu pszczół. Stoisko cieszyło się dużym zainteresowaniem nie tylko dzieci, ale i dorosłych. Najmłodszy mieli swój kącik plastyczny, zabawy i quiz. Zaprezentowane były prace plastyczne konkursu jaki zawsze towarzyszy Wierszowisku. Swoją wystawę miały fotografie nadesłane na konkurs „Polska w obiektywie polonijnego dziecka”, który także jest organizowany przez Forum Polskich Szkół w Holandii. Dodatkową atrakcją

tegorocznego wydarzenia była loteria fantowa, w której do wygrania były bilety na polskie spektakle i koncerty.

Obecne na Wierszowisku były polonijne organizacje – niektóre tak jak Scena Polska na Wierszowisku w zasadzie od zawsze, inne jak Polandia czy Polskie Gniazdo – po raz pierwszy. Odwiedzili teatr dawni organizatorzy i uczestnicy.

Na Wierszowisku jest miejsce dla wszystkich, bo tak jak poezja, tak i Wierszowisko niesie ze sobą ogromny ładunek pozytywnych emocji, które łączą ludzi, organizacje, polonijne szkoły i pokolenia.

Wierszowisko zostało zorganizowane przez zarząd Forum Polskich Szkół w Holandii, a przeprowadzone przy ogromnym wsparciu ponad 30 wolontariuszy którzy w dniu Wierszowiska pomagali w sprawnym przebiegu wydarzenia. Odbyło się dzięki wsparciu sponsorów zarówno firm jak i osób prywatnych. Za każdą pomoc, wsparcie i współpracę organizatorzy są ogromnie wdzięczni!

Zapraszamy do obejrzenia licznych relacji filmowych i fotograficznych z Wierszowiska na stronie wydarzenia www.wierszowisko.com ■

Śpiewająca bogini wodewilu, Koosje Majofski



GRAŻYNA GRAMZA

Jacoba Maria Majofski (1807-1847) był potomkinią dynastii scenicznej o polskich korzeniach. Jej ojcem był Theo Majofski, który był bardzo znanym aktorem, a przez pewien czas nawet dyrektorem teatru w Amsterdamie. Matką Koosje, bo takim przydomkiem obdarzono Jacobę, była aktorka Johanna Adams, a babką Jo Adams, również artystka teatralna. Koosje była prawdopodobnie dziewiątym z co najmniej dziesięciorga dzieci państwa Majofskich, którzy byli katolikami. Matką chrześną dziewczynki była Jacoba Sardet-Wouters, gwiazda sceny amsterdamskiej. Koosje Majofski zaczęła grać wcześniej, podobnie jak jej siostry Louise (1803-1874) i Anemie (1810-1881). Już w wieku pięciu lat zagrała swoją pierwszą rolę na scenie amsterdamskiego teatru, który jej ojciec prowadził wraz ze swoim przyjacielem i szwagrem Andriesem Snoekiem oraz aktorką Johanną Cornelią Wattier.

W 1823 roku szesnastoletnia Koosje Majofski poślubiła bogatego kupca Karela Nareta Koninga (1784-1845) i miała z nim sześcioro dzieci, z których tylko trójka dożyła dorosłości. Jednym z nich był Johan Naret-Koning, znany skrzypek i koncertmistrz. Jako mężatka, na przekór tradycji, pracowała i nadal występowała. Pod nazwiskiem Naret Koning-Majofski stała się jedną z najbardziej znanych aktorek swoich czasów. Grała zarówno role klasyczne, jak i wodewilowe, śpiewała także w operach.



Często grała główne role w komediach niderlandzkojęzycznych, czym zaskarbiła sobie sympatię szerszej publiczności. W 1833 roku pisarz i reżyser Roobol zadedykował jej swoją nową komedię „De huwbare dochter” (tł. „Zameżna córka”), a ją samą nazywał „śpiewającą boginią wodewilu”. Majofski grała np. Tisbe w „Angelo, Tyran z Padwy” Victora Hugo, Fransje w „Matce i synu” Charlotte Birch-Pfeiffer oraz Hulde w „Damie nad Dunajem”. Śpiewała także pieśni Karla Friedricha Henslera.

W późniejszych latach Koosje nie miała okazji wykorzystywać w pełni swojego talentu, ponieważ ówczesna żona reżysera i dyrektora teatru Mimi (Maria) Engelman-Bia rywalizowała z Jacobą, zgarniając dla siebie główne role. Ona również należała do świetnych aktorek swojego czasu, ale dla rywalki nie miała serca. Kiedy zmarł mąż Koosje, nie już jej nie trzymało w Amsterdamie, więc wyprowadziła się do Hagi, gdzie przez krótki czas błyszczała na scenie u boku Antona Petersa. Była to niejako konieczność, bo mąż nie zostawił jej pieniędzy, a musiała utrzymać rodzinę. Teatr w Hadze zaferował jej lepsze warunki

finansowe, chociaż opuszczała Amsterdam z ciężkim sercem.

Jacoba Maria Majofski była dobrze wykształconą osobą, pobierała nauki u znanych artystów tamtych czasów, np. J. C. Wattier oraz M. H. Adams. Jako aktorka była naturalna, a krytycy uważali, że jej gra na scenie była wspaniała. Jej głos był świetny, mogła śpiewać koloraturą. Dużo podróżowała, co było atrybutem pracy na scenie – zespoły aktorskie jeździły z występami do innych miast, czy krajów. Jacoba była nie tylko aktorką i śpiewaczką, tłumaczyła również sztuki teatralne, np. „Kapitana morskiego” oraz „Dziadka”, wodewile autorstwa modnego wówczas Théaulona. Koosje utrzymywała szerokie kontakty i korespondowała m.in. z pisarzami. Jednym z nich był Justus van Maurik, który po jej śmierci napisał, że była najwspanialszą artystką swoich czasów, a na scenie całkowicie wczuwała się w graną postać.

Umarła w wieku czterdziestu lat, pozostawiając trójkę dzieci (pozostała trójka już nie żyła), zaledwie jedenaście miesięcy po jej przeprowadzce do Hagi. Po jej śmierci podjęto kilka inicjatyw mających na celu zbiórkę pieniędzy dla sierot. Zorganizowano także występy charytatywne ku pamięci Jacoby Majofski, a dochód przeznaczono dla dzieci. Odbyła się również aukcja jej kostiumów, a Dom Królewski przekazał darowizny pieniężne. Na pogrzebie jeden z przyjaciół wydekłomował pochwałę i życzenie, by Koosje, która zasłużyła na podziw jak sama Thalia, powinna zostać zapamiętana jako ta, która odkryła swoje talenty i ich nigdy nie zaprzepaściła:

„Want ze is het waard, Thalia's glorie/
Van wie alleen de herinring blijft/
Schoon ook de veder der historie/
Haar naam in heur gedenboek schrijft/
Want ze is het waard, die, met de gaven/
Haar door de Godheid toebedeeld,
Haar grootse roeping wist te staven/
En nooit die gaven heeft verspeeld”.

ŹRÓDŁO: [HTTPS://RESOURCES.HUYGENS.KNAW.NL/VROUWENLEXICON/LEMMATA](https://resources.huygens.knaw.nl/vrouwenlexicon/lemmata)

Ciekawostki

Mają polskie korzenie...



ANNA FRANÇOIS-KOS

Ponoć około 20 milionów osób na świecie ma polskie korzenie. Znaleźć można wśród nich pierwsze, drugie lub znacznie dalsze pokolenia polskich emigrantów. Często są to osoby pochodzenia mieszanego, których matka lub ojciec, babcia lub dziadek byli Polakami. Częstokroć mające pochodzenie polsko-żydowskie.

Coraz więcej w ich gronie osób zasłużonych, słynnych, popularnych. Oto kilku z nich:

Thomas Howarda Kean (1935), członek partii republikańskiej, 48 gubernator stanu New Jersey (1982-1990). Jego prababka Susan Livingston-Kean była żoną Juliana Ursyna Niemcewicza. Miał świadomość polskiego pochodzenia, zresztą swoją pracę doktorską poświęcił zresztą Niemcewiczowi. Jego posiadłość rodzinna Nosi nazwę „Ursino” od imienia Niemcewicza. Warto przy okazji przypomnieć, że 12-tomowe dziennik Niemcewicza pisane podczas 10 lat pobytu w Ameryce uważane są za najbardziej miarodajne źródło historii Ameryki. Kean jest jednak najbardziej znany z tego, że w 2002 roku prezydent George W. Bush mianował go przewodniczącym Narodowej Komisji ds. Ataków Terrorystycznych na Stany



Zjednoczone, zwanej też Komisją 9/11, która była odpowiedzialna za badanie przyczyn ataków terrorystycznych na Stany Zjednoczone.

André Citroën (ur. 5 lutego 1878 w Paryżu, zm. 3 lipca 1935 w Paryżu) – francuski inżynier i pionier przemysłu motoryzacyjnego, założyciel imperium przemysłowego Citroëna w 1919 roku. Citroën był piątym i ostatnim dzieckiem Levie Bernarda Citroëna, holenderskiego żydowskiego handlarza diamentami, który wyemigrował do Paryża w 1873 roku i Amalii Kleinmann, polskiej Żydówki z Warszawy. Pradziadek André był handlarzem owo-



ców cytrusowych w Holandii. André Citroën jest jedną z najważniejszych postaci w branży motoryzacyjnej. Wprowadzone przez niego metody produkcji i marketingu na dużą skalę zrewolucjonizowały tę dziedzinę. W 1900 roku, z okazji Świąt Wielkanocnych, André Citroën odwiedził rodzinę w Polsce i spotkał się ze swoim szwagrem, którego jeden z klientów – mała łódzka firma mechaniczna – opracował proces cięcia kół zębatach z zębami w kształcie litery V. Citroën dostrzegł w tej precyzyjnej maszynie do cięcia stali drogę do rozpoczęcia samodzielnej kariery przemysłowca i zaproponował wykupienie licencji na proces produkcyjny, którą posiadał wówczas jej wynalazca (patent rosyjski, Polska była wówczas pod dominacją rosyjską).

Martha Stewart jest jedną z najbardziej wpływowych osobowości medialnych w USA. Jej dziadkowie pochodzili z Podkarpacia, jest córką Edwarda Kostyry i Marty Ruszkowskiej. Ekspertka kulinarna chętnie podkreśla swoje polskie pochodzenie, a na YouTube można znaleźć filmik, na którym gotuje gołąbki ze swoją mamą (https://www.youtube.com/watch?v=e7PFQ1_gG7g). Imperium medialne



zbudowała w 1990 roku za pośrednictwem magazynu „Martha Stewart Living” i cotygodniowego programu telewizyjnego o tym samym tytule, gdzie promuje zestaw technik dobrego życia w domu: aranżację mebli, kompozycje kwiatowe, ogrodnictwo, przepisy kulinarne itp.

Matylda Maria Christina Ghislaine d'Udekem d'Acoz ma polskie korzenie. Matylda jest w połowie Polką. Królowa Belgii urodziła się w 1973 r. jako córka hrabiego Patrick'a d'Udekem d'Acoz i polskiej hrabiny Anny Marii z domu Komorowskiej urodzonej w Białogardzie. Babcia Matyldy była Zofia, księżniczka z rodu Sapiehów, a pradziadkiem Adam Zygmunt książę Sapieha-Kodeński z Krasieczyna. Włada biegle czterema językami: niderlandzkim, francuskim, angielskim i włoskim (niestety, język polski jest jej obcy, choć jej mama posługuje się nim perfekcyjnie). Belgowie ją



uwielbiają Matyldę. Ma flamandzkie pochodzenie po ojcu, ale wiele lat mieszkała w Walonii. Dzięki temu zyskała sympatię podzielonych Flamandów i Walonów.

Matt Pokora (1985) popularny francuski piosenkarz i kompozytor to wnuk



polskich imigrantów. Urodził się w 1985 w Strasburgu, jako syn Brigitte i André Toty. Jego prawdziwe nazwisko to Matthieu Tota. Zmienił je w trakcie rozwoju swojej kariery artystycznej i dziennikarze często podkreślają, co oznacza jego pseudonim pochodzący z języka polskiego. Sam mówi, że: „bliscy tłumaczyli mu, że najważniejsza w osiągnięciu sukcesu jest pokora”. Piosenkarz jest dumny ze swoich polskich korzeni. „Moi dziadkowie ze strony ojca byli Polakami, przyjechali do Francji w czasie I wojny światowej”. On sam często odwiedza nasz kraj i uwzględnia go w swoich trasach koncertowych. Często występował w Polsce i brał udział w licznych polskich programach telewizyjnych. Między innymi wziął udział w koncercie podczas imprezy „Wianki nad Wisłą 2009” w Warszawie.

Paul Baran (1926-2011) to matematyk, fizyk i informatyk. To człowiek, który wymyślił Internet. Wywodzi się z rodziny polsko-żydowskiej. Rodzice Paula Barana



pochodzili z Sidry niedaleko Białegostoku, a on sam urodził się w Grodnie na terenie ówczesnej II Rzeczypospolitej. Kiedy miał 2 lata jego rodzice wyemigrowali za chlebem do Stanów Zjednoczonych. Na zlecenie Amerykańskich Sił Zbrojnych firma RAND, w której pracował, zaczęła pracę nad projektem wytrzymałych, rozproszonych sieci cyfrowych transmisji danych. Baran zaprojektował tę sieć i w 1962 roku opublikował 12-tomową pracę opisującą koncepcję jej działania. Tą strukturę sieci informacyjnej Departament Obrony USA wdrożył pod nazwą ARPANET. Kilka lat później Baran zaproponował podzielenie ARPANETU na wojskowy MILNET i cywilny INTERNET.

Król Karol III też ma polskie, aczkolwiek bardzo dalekie korzenie. Praprapradziadek jego ojca, księcia Filipa przybył do Polski z Saksonii pod koniec XVIII wieku. Nazywał się Fryderyk Hauke, spoczywa na Starych Powązkach w Warszawie. Jego grób znajduje się na przeciwko miejsca pochówku rodziców Chopina. Hauke był wykładowcą w Szkole Artylerii i nauczał języka niemieckiego i matematyki w warszawskim liceum. Syn Fryderyka, Maurycy był generałem, zginął w noc listopadową w 1830 roku. Jedną z jego córek, Julia została księżną Batterberg. Miała syna



Ludwika, który ożenił się z wnuczką królowej Wiktorii i z tego związku przyszła na świat Alicja, mama księcia Filipa.

Andrzej (Andrew) Schally jest laureatem Nagrody Nobla w dziedzinie medycyny z 1977 roku. Oficjalnie mamy 7 noblistów, ale polskie korzenie ma aż 56 ! Schally urodził się w Wilnie i jest synem legionisty, adiutanta prezydenta Ignacego Mościckiego, generała Wojska Polskiego Kazimierza Schally'ego. Pochodzi zatem z bardzo patriotycznego domu. Po wybuchu wojny w wieku niespełna 13 lat opuścił Polskę, by już nigdy na stałe do niej nie powrócić. Z czasem zapomniał języka polskiego i gdy w 2017 roku odwiedził swoją dawną ojczyznę, to posługiwał się już tylko językiem angielskim. Rok później został



odznaczony medalem „Pro Patria” za zaangażowanie w ratowanie Pomnika Katyńskiego w Nowym Jorku.

Juliette Binoche – to jedna z najsłynniejszych i najbardziej cenionych francuskich aktorek. Jej dziadek ze strony matki, André Stalens miał belgijskie pochodzenie, ale urodził się w Częstochowie, gdzie pracował od lat jego ojciec. Pradziadek aktorki był dyrektorem fabryki kapeluszy w Częstochowie a André został współdziałalcom zarówno fabryki ojca, jak i Wytwórni Wyrobów Trykotowo-Działanych „Runo”. Julia Helena Młynarczyk, babcia



Juliette Binoche ze strony matki była Polką. Grała w częstochowskim teatrze im. A. Mickiewicza. Binoche w wywiadach wielokrotnie podkreślała, że po babci odziedziczyła nie tylko imię, ale również zapał do aktorstwa. Jej córka, Monique Yvette Stalens (mama Juliette Binoche) urodziła się w 1939 r. w Częstochowie. Jest aktorką, reżyserem teatralnym i pedagogiem. Prowadzi własny teatr w Paryżu. Świetnie mówi po polsku. Od lat organizuje kursy teatralne we Francji i w Polsce i prowadzi wykłady w szkołach średnich i na uniwersytetach we Francji poświęcone teatrowi i teatrowi polskiemu, zwłaszcza Gombrowiczowi i Witkacemu. Siostra Juliette, Marion Stalens jest też aktorką, fotografem i reżyserem licznych filmów dokumentalnych.

MATERIAŁY ZEBRAŁA ANNA KOS

20 lat nowoczesnej praktyki notarialnej

„LUBIMY ROZMAWIAĆ W PROSTYM I ZROZUMIAŁYM JĘZYKU” (TAKŻE PO POLSKU)

TIEL – Kancelaria Notarialna Kok istnieje już 20 lat! Ważna rocznica. Roland Kok i jego partnerka Jolanta Mach sprawili, że skomplikowane sprawy notarialne stały się dostępne i przystępne dla szerokiego grona odbiorców, w tym także dla polskich klientów, którym w biurze oferowana jest obsługa w języku polskim.



Lokalnie

Lokalizacja biura w centrum Tiel jest reprezentatywna dla pozycji, jaką biuro zajmuje w społeczności regionu. Notarispraktijk Kok sponsoruje wiele różnych lokalnych projektów, takich jak coroczna parada Frutitorso i lokalny teatr Agnietenhof. Notarispraktijk Kok to przystępna kancelaria z biurem w centrum miasta, do którego klienci chętnie przychodzą po poradę i usługi „szyte na miarę”.

Krajowo

Na poziomie krajowym Notarispraktijk Kok odgrywa ważną rolę w doradztwie obywatelom polskiego pochodzenia mieszkającym w Holandii, ale także ich rodzinom mieszkającym w Polsce. W przypadku rodzin żyjących pomiędzy dwoma krajami bardzo często jest konieczne zastosowanie jurysdykcji holenderskiej do rozwiązania spraw prawnych. „Uważamy, że ta grupa klientów zasługuje na uwagę”.



Kancelaria wspiera także różne polonijne inicjatywy i wydarzenia na terenie Holandii.

Profesjonalnie

Notariusz Roland Kok jest członkiem EPN, czyli stowarzyszenia planistów w zawodzie notarialnym. EPN jest największym stowarzyszeniem specjalistów notarialnych, które powstało w odpowiedzi na potrzebę

notariuszy w poszerzaniu wiedzy w kwestii zarządzania majątkiem. „Punktem wyjścia jest to, jak najprzystępniej przekazać następnym pokoleniom to, co zbudowałeś. Wyzwaniem jest także połączenie logiki ze wszystkimi możliwymi prawnymi kruczkami.” Świadomość tych możliwości i uregulowań poprzez odpowiednie zapisy w aktach notarialnych jest bardziej obecna niż kiedykolwiek wcześniej.

Osobiście

Swoją pracę Roland Kok postrzega jako misję: „Codziennie od nowa logicznie i prosto tłumaczyć zawiłe sprawy prawne. Naszym zadaniem jest to, aby wizyta w kancelarii była przyjemnym doświadczeniem dla klienta. Taki był nasz cel i tak pozostanie. Nie utrudniajmy tego!” Taki sposób myślenia pozostaje rewolucyjny w zawodzie notariusza, ale przede wszystkim jest pasją notariusza Rolanda Koka.

Nowoczesny sposób "bycia notariuszem" jest praktykowany w kancelarii już od 20 lat.

Notarispraktijk Mr. Roland Kok,

Sint Agnietenstraat 9,

4001 NB Tiel

T: 0344-639080

E: info@notarispraktijkkok.nl

E: www.notarispraktijkkok.nl

holenderskie ciekawostki

życie w Holandii

informator

wiadomości

atrakcje

co-gdzie-kiedy

ogłoszenia

niedziela.nl

**Portal Polaków w Holandii
oraz
Ogromny Serwis Ogłoszeniowy**



EUROPEAN
BEST
DESTINATION
2023
★ WARSAW ★



POLISH
TOURISM
ORGANISATION



A photograph of a narrow street in Warsaw, Poland, lined with historic buildings. The sun is shining brightly from behind the buildings, creating a lens flare effect. In the background, a church with two prominent green copper domes is visible against a blue sky with light clouds.

POLAND.
More than you expected

■ www.poland.travel